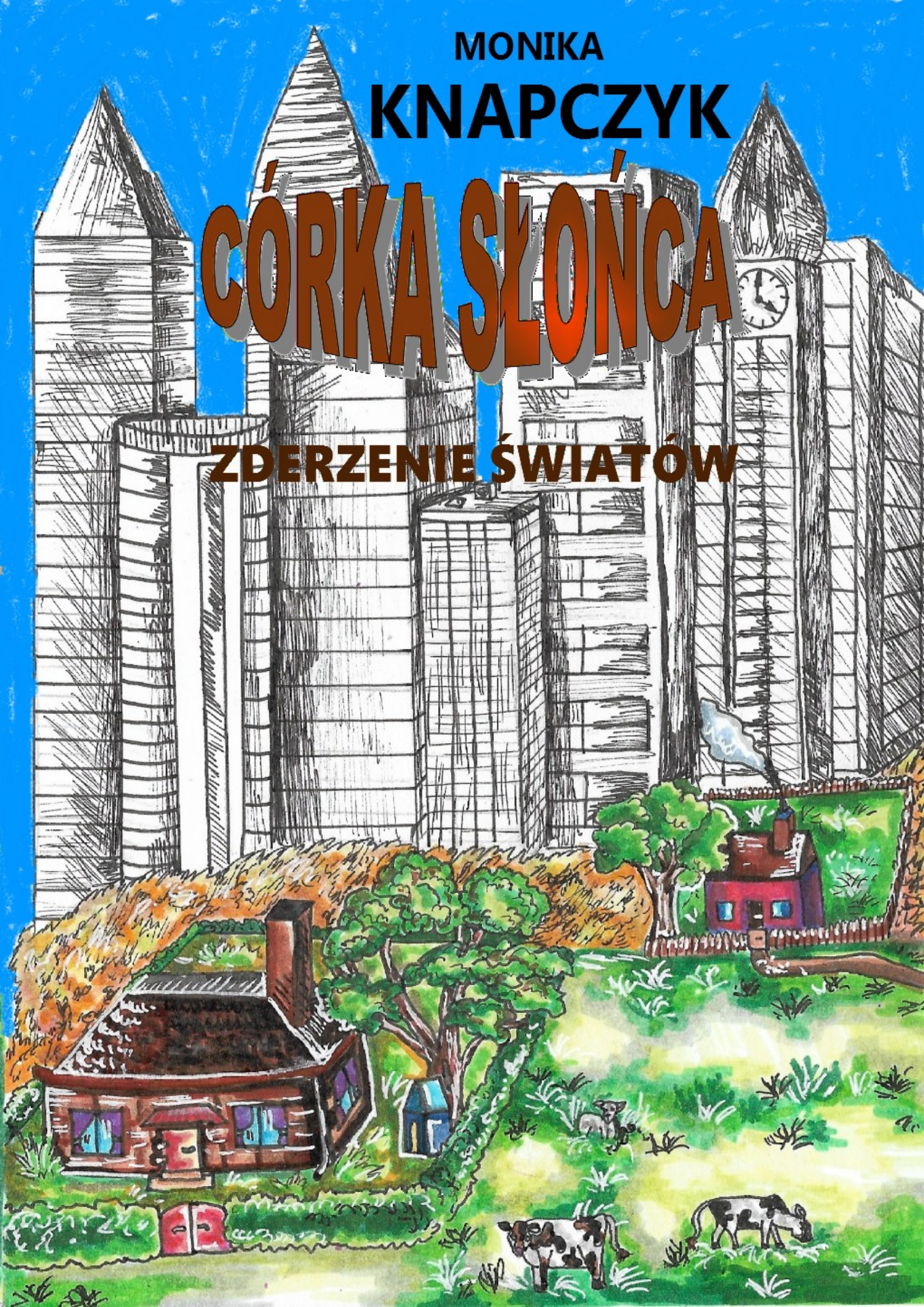


MONIKA

KNAPCZYK

CÓRKA SŁONCA

ZDERZENIE ŚWIATÓW



MONIKA
KNAPCZYK

CÓRKA SŁOŃCA

ZDERZENIE ŚWIATÓW

Tom I

Copyright © Monika Knapczyk, 2019

Copyright © Wydawnictwo Inspiracje, 2019

Ilustracja na okładce © Weronika Węsek

Instagram: art_and_cactus

Redakcja i skład: Monika Knapczyk

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

ISBN 978-83-953104-4-7

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Wydawnictwo Inspiracje



Inspiracje

Puławy 2019

www.mojeinspiracje2017.blogspot.com

moje.inspiracje.2017@gmail.com

Spróbuj zapalić małą świeczkę, zamiast przeklinać ciemność.

Konfucjusz

*– Twoja męka kiedyś się skończy – rzekł. – Jeśli tylko zechcesz,
przestaniesz cierpieć. Wszystko zależy od ciebie.*

– To wy! To wy doprowadziliście mnie do tego stanu! – zaszlochał Winston.

*– Nie, Winston, sam się doprowadziłeś. Sam wybrałeś tę drogę, kiedy
postanowiłeś sprzeciwić się Partii. Wszystkie następstwa wynikły z
twojego pierwszego kroku. Nie spotkało cię nic, czego nie mogłeś
przewidzieć.*

George Orwell, *Rok 1984*

*I ci ginący, samotni,
Już zapomniani od świata,
Język nasz stał się im obcy Jak
język dawnej planety.
Aż wszystko będzie legendą
I wtedy po wielu latach
Na nowym Campo di Fiori Bunt
wzniesie słowo poety.*

Czesław Miłosz, *Campo di Fiori*

ROZDZIAŁ I

DERRA

Żrebak wydawał się tak wysoki, że dziewczynka za nic w świecie nie wspiełaby się samodzielnie na jego grzbiet. Właściwie był już wyrośniętym, dobrze odkarmionym trzylatkiem o lśniącej, kasztanowej sierści. Z przyzwyczajenia zwano go wciąż Żrebakiem i zdawało się, że to imię przylgnie do młodego konia na dobre. Przed paroma minutami starsza siostra dziewczynki dosiadła zgrabnym susem matki młodego konia, kasztanki o imieniu Strzała. Lecz Emaną miała siedemnaście lat i była całkiem dorosła, co podkreślała przy każdej okazji. Pewnie dlatego Derra w tę jej dorosłość wątpiła.

Tata pogłaskał ją po gęstych, kędzierzawych włosach w kolorze ciemnej miedzi, dotknął pieśczośliwie jej nosa i powiedział miłym, pełnym ciepła głosem:

– No dalej, Piesku, hop! – po czym chwycił ją w objęcia i posadził na derce przykrywającej koński grzbiet. Dziewczynka usadowiła się wygodnie na grzbiecie Żrebaka i pewnym ruchem ujęła wodze. Umiała dobrze jeździć konno, pod warunkiem oczywiście, że ktoś pomógł jej się wspiąć na wierzchowca. Żrebak należał do niej, wzajemnie uczyli się skomplikowanych reguł współpracy człowieka z koniem. Dbała o niego najlepiej, jak potrafiła, z zapałem szcotokowała lśniące boki, a zimą porą nigdy nie zapomniała o nałożeniu mu do żłobu dużej porcji siana. Darzyła to zwierzę wielką miłością, taką, jaką Emaną kochała Strzałę.

Minęła czwarta i wszyscy w wiosce byli już na nogach. Trwał ruch, bezustanna krzątania, ostatnie przygotowania do podróży. Cały niezbędny dobytek spakowano wczoraj, teraz sprawdzano tylko gorączkowo, czy na wozach znalazło się wszystko, co będzie potrzebne Entorianom w ich rokrocznej wędrówce. Wyprowadzano z zagród owce i bydło, ryglowano drzwi domów. Dzieci zbyt małe, by pomagać, kręciły się pod nogami starszych, pchały się między zwierzęta, z którymi przywykły

obcować od najmłodszych lat, dorośli zaś byli zbyt zaabsorbowani pracą, by skutecznie pilnować pociech.

Zapanował nastrój radosnego podniecenia, czystej szczęśliwości. Dzień zapowiadał się pogodnie, po niebie płynęły leniwie nieliczne białe obłoki. Na czele pochodu miała jechać na ulubionej jabłkowej klaczy Kendra Amno, odziana w swój najlepszy, haftowany w kwiaty kaftan. Nie zapomniała nawet o naszyjniku z wilczych kłów i jastrzębich piórach we włosach, oznakach jej siły i władzy.

Tata zaprzągnął do wozu parę wołów. Strzała i Żrebak służyły tylko do jazdy pod wierzch. Mama wyprowadziła z zagrody stadko owiec, z obórki zaś mleczną krowę. Burek ujadał głośno i wywijał ogonem, ciesząc się na zaganianie owiec i pilnowanie, by żadna nie odłączyła się od stada. Emana dosiadła Strzały, biorąc przed siebie czteroletniego braciszka. Derra również usadowiła się z pomocą taty na grzbiecie Żrebaka. Młody koń przebierał niecierpliwie nogami, jakby przeczuwając zbliżającą się wielką chwilę.

Wreszcie Kendra Amno uniosła prawą rękę. Zapanowała idealna cisza, którą zakłócało jedynie szczekanie psów i płacz kilkorga małych dzieci. Przywódczyni wypowiedziała donośnym głosem tylko jedno słowo:

– Ruszamy!

Wędrówka rozpoczęła się, a świąteczny nastrój, przesycony oczekiwaniem na jedyny w roku dzień, wzmógł się. Od niepamiętnych dla Derry czasów, prawdopodobnie od dnia, w którym gromadą zaczęła rządzić jej babka, wyruszali ku górrom właśnie dziesiątego Flamerule. Nie musieli się spieszyć, dlatego wędrowali powoli, ciesząc się pięknem swojego kraju, blaskiem słońca oraz samym urokiem podróży, dającej wolność tak różną od całorocznej harówki. Choć mieli do przebycia ponad dwieście kilometrów, wiedzieli, że na pewno dotrą do celu pierwszego dnia Eleasias, w dniu letniego przesilenia, w największe święto Kiramu, na Północy obchodzone szczególnie uroczyście.

Dogoniła ją Milla na siwku, coś zagadała. Derra odpowiedziała, nie było to chyba nic ważnego. Kuzynka prędko się oddaliła, co Derra przyjęła z ulgą, gdyż nie miała chęci na rozmowę. Czuła się wciąż zbyt cudownie, by dzielić się tymi myślami z innymi, nawet z kimś tak bliskim jak Milla. Cienie stawały się krótsze, światłość

przechodziła od odcienia złocistego i głębokiego do bardziej białego i jaskrawego. Rodzinna wioska dawno została za horyzontem. Mijali teraz skąpo zalesione, równinne tereny.

Wędrowali szerokim gościńcem, a kopyta zwierząt wzbijały w powietrze tumany kurzu. Łąki pokryły się dywanami kwiatów. Wprawdzie mlecze już przekwitły, ale przed oczami wędrowców roztaczały się w wielkiej obfitości połacie dzikiego rumianku, koniczyzny białej i fioletowej, chabrów, maków, stokrotek, zaś w pobliżu potoków i oczek wodnych rozkwitały złociste kaczeńce. Od czasu do czasu przez łąkę przemykał w podskokach szarak, a spośród traw zrywało się stadko przepiórek. Powietrze przesycone było trelami skowronków, niekiedy zaś tuż obok konia Derry prześlizgiwała się śmigła jaskółka.

Cudowności tego dnia nie dawało się wyrazić słowami. Wprawdzie temperatura osiągnęła ledwo dziesięć stopni ponad poziom topnienia lodu, lecz Entorianom, ludowi od niepamiętnych czasów żyjącemu na chłodnej Północy i zżytemu ze swoją piękną ziemią, zupełnie to nie przeszkadzało.

Derra miała na sobie bluzę z długimi rękawami, spodnie do kostek i trzewiki z owczej skóry. Dla odmiany Emany, zawsze lubiąca zadziwić czymś otoczenie, założyła z samego rana krótkie spodenki i sandały. Grzała teraz jędrne łydki od ciepłych boków Strzały. Włosy obu sióstr powiewały na wietrze niczym nie skrępowane, jednakowo miedziane i kędzierzawe. Emany nie ścinała ich od paru lat i sięgały teraz talii. Z tą burzą żywego złota, bystrymi, zielonymi oczami, zawadiackim uśmiechem, paroma piegami na nosie i niedawno ukończonymi siedemnastoma latami Emany była bardzo piękna. Adorowało ją wielu chłopców z wioski i ze szkoły, ona jednak nie zwracała na te zaloty większej uwagi. Nie miała chłopaka, o wiele bliższe niż chłopcy były dla niej wciąż owce i książki, szczególnie te z kolorowymi zdjęciami krajobrazów Quatessinu.

Właściwie miała nosić zupełnie inne imię. Niewiele brakowało, by jej matka, Armina Anno, nie wyruszyła w roku 1614 według rachuby Nowego Imperium na letnią wędrowkę, wkrótce bowiem miała urodzić dziecko. Jej mąż, Delekan Soran, zaproponował, by spędziła dni dzielące ją od porodu oraz czas połogu w domu

swojej ciotki, mieszkającej w małym miasteczku na wschodzie kraju. Mogłaby tam w spokoju i otoczona troskliwą opieką urodzić dziecko, on sam zaś powędrowałby ku górcom jedynie z pięcioletnią wówczas Emaną.

Armina nie zgodziła się jednak na takie rozwiązanie. Wiele ciężarnych kobiet, nawet tych w zaawansowanej ciąży, ruszało z plemieniem w drogę, czemu więc ona miałaby uchylić się od wypełnienia nakazów tradycji? Była dzielną kobietą, nigdy na nic się nie skarżyła, znosiła więc trudy podróży bez słowa, przeważnie powożąc, podczas gdy Dele-kan pilnował owiec. Poczwała bóle dopiero podczas świątecznych obrządków. Gdy słońce chowało się wśród purpury za niemal północny horyzont, a plemię padło na kolana, by przetrwać czas nieobecności gwiazdy z twarzami wtulonymi w ramiona i czołami dotykającymi ziemi, ona po krótkiej walce wypchnęła z łona noworodka, dziewczynkę.

Kendra Amno, babka dziecka, wówczas już przywódczyni gromady, ujęła w dłonie umazanego jeszcze krwią i śluzem nagiego noworodka i podniosła wysoko, by pokazać go budzącemu się słońcu. W Entorii wierzono, że dzieci urodzone pierwszego dnia Eleasias były w szczególny sposób poświęcone słońcu. Gdy przyszedł czas wyboru imienia dla dziewczynki, Dele-kan, jej ojciec, nie miał żadnych wątpliwości. Wybrał słowo z języka dalekiego Malloveru, znaczące tyle co apogeuum, jak w Malloverze nazywano dzień letniego przesilenia. Słowo owo brzmiało Elaysia i takie imię nosiłaby dziewczynka, gdyby w sprawę nie wmieszała się surowa Kendra. Uznała ona, że dziewczynka powinna nosić całkiem zwykle entoriańskie imię.

– Przewróci jej się w głowie – stwierdziła krótko.

Armina milczała. Imię wybrane przez męża podobało jej się, nie potrafiła jednakże przeciwstawić się matce. W ten sposób dziewczynka została Derrą, lecz Dele-kan nigdy nie porzucił myśli o Elaysii. Choć nie odważył się zwracać do dziewczynki w ten sposób – w chwilach czułości nazywał ją Pieskiem – to w głębi jego serca pozostała dla niego Elaysią, cudownym dzieckiem słońca, szczególnym darem Wielkiego Ducha. Kochał ją najbardziej z trójki swoich dzieci i nawet przyjscie na świat jedyne go syna, dziedzica nazwiska, nie zmieniło jego stosunku do Derry. Bardzo prędko, gdy tylko Derra była zdolna cokolwiek pojąć, opowiedział córce

o dniu jej narodzin i potem powtarzał tę opowieść często, gdy byli sami. Armina twierdziła, że takim nadmiernym rozbudzaniem wyobraźni i niezasłużonej dumy psuje tylko dziecko, zaś starsza córka rzucała mu w takich momentach krótkie, ale wymowne spojrzenie.

Stąd w dużej mierze brała się ledwie wyczuwalna złośliwość Emany względem Derry. Ona sama przyszła na świat w miesiącu Hammer, głęboką zimą, i była zazdrosna o małą „Elaysię”. Zbyt dumna, by przyznać się do tego uczucia choćby przed samą sobą, nauczyła się odnosić do siostry i całego świata z pewnym odcieniem wyższości, zbyt delikatnym, by kogoś razić, na tyle jednak wyraźnym, by był zauważalny.

Wychowana w kulturze przesyconej kultem lata i słońca, nie potrafiła skutecznie udawać, że to, co różni ją od Derry, nie ma żadnego znaczenia. Jej pamięć zachowała dobrze tamten obraz z dzieciństwa, gdy wśród dźwięków *Pieśni triumfującej radości* babka unosiła ponad głowami ludu jej maleńką, niepodobną jeszcze do ludzi siostrzyczkę. Radość letniego święta powiększona została o radość cudu narodzin tego dziecka. Było tak, jakby gromada śpiewała tę przepiękną pieśń o radości przyrody, budzącej się z zimowego letargu do nowego życia, specjalnie dla tego noworodka.

Własnych narodzin Emany pamiętać nie mogła, ale nietrudno było jej wyobrazić sobie, jak musiały one wyglądać. Entoria pogrążona była w ciemnościach, wiały lodowate, północne wichry, ziemia była szara i spękana, drzewa nagie, a słońce odmawiało ludziom swego światła i opieki. Ludy Północy odsypiały letnie szaleństwo. Połowę doby spędzano w łózkach, a drugą połowę snuto się w otępieniu po domostwach, warsztatach i szkolnych korytarzach. Wtedy właśnie, w przerwie między jednym a drugim snem, Armina Anno obdarzyła świat swoim pierwszym dzieckiem.

Fakt ten pozostał niemal niezauważony w społeczności wioski. Niemniej jednak Emany pojawiła się wśród żyjących, zajęła należne sobie miejsce i nie zamierzała wcale być ostatnią spośród córek i synów tego świata. Prędko pokazała, na co ją stać. Odnosiła sukcesy w szkole, samodzielnie opanowywała język Quatessinów,

nie zanedbywała też pracy w domu i zagrodzie. Wkładała jednakowy zapał i zaangażowanie zarówno w naukę, jak i w ubijanie masła czy strzyżenie owiec.

Kochała Derrę na swój sposób, a jednak nie zawsze potrafiła powstrzymać się od złośliwości. Pewnego dnia Derra wróciła ze szkoły podekscytowana i oznajmiła, że właśnie dziś usłyszała od nauczyciela starą legendę, wedle której dzieci urodzone pierwszego dnia Eleasias otoczone są szczególną opieką słońca. Powiedziała to z wypiekami na twarzy, siedząc na krześle przy oknie w pokoju siostry. Emaną zaś, leżącą na łóżku i zatopiona jak zwykle w lekturze, raczyła podnieść głowę, spojrzała jakoś tak drwiąco, z grymasem na ustach, i oświadczyła dobitnie:

– To bzdura! Bajka dla małych dzieci!

Uśmiech zamarł na twarzyczce Derry, płomień w oczach zgasł. Dziewczynka, upokorzona jak nigdy przedtem, wybiegła z pokoju siostry prawie z płaczem. Nigdy potem nie poruszyła tego tematu w rozmowie z Emaną. Nigdy też nie poskarżyła się na nią rodzicom. Przechowywała i pielęgnowała tę piękną myśl, tę „dziecinną” legendę we własnym sercu, głęboko przekonana, że kiedyś okaże się ona czymś więcej niż tylko baśnią.

Żrebak kłusował rażno, aż dziewczynka musiała ściągać wodze. Minęła godzina ósma i gromada była znów w drodze. Zatrzymano się na drugie śniadanie. Postój trwał tak krótko, że ledwie zdążono ustawić paleniska, zagrzać w kociołkach wodę na herbatę i przegryźć parę kromek chleba z wędliną, i już trzeba było się zbierać. Kendra zarządzała krótkie postoje o tej godzinie, na dłużej miano zatrzymać się dopiero około drugiej. Wtedy to gromada spożywała główny posiłek. Sięgano do wiezionych na wozach zapasów ziemniaków, warzyw, mięsa i chleba. Przyrządzano obiad na węglowych paleniskach, który spożywano bez pośpiechu, odpoczywając od marszu i ciesząc się ciepłem słońca. Postoje takie urządzano przeważnie nad jakimś strumieniem. Dzieciaki chlapały się wtedy ochoczo w wodzie, czasami też i starsi postanawiali wziąć gruntowną kąpiel.

Zapasy jednak wyczerpywały się prędko. Nie można było zabrać dużo mięsa, gdyż zepsułoby się ono w drodze, ani też dużo chleba, by nie zesechł. Wkrótce pojawiała się potrzeba zdobywania pożywienia w lasach i na łąkach, entoriańscy

pasterze musieli być więc również doświadczonymi myśliwymi i zbieraczami. Podstawową bronią entoriańskich wędrowców były łuk i strzelba. Polowano na zające, sarny, jelenie, dzikie kaczki, bażanty, przepiórki i inne ptactwo. Szczególnie dużo ptaków wodnych chwytało na bagnach. Jeśli zdobycz okazała się zbyt duża dla jednej rodziny, myśliwy dzielił się mięsem z krewnymi lub przyjaciółmi.

Emana strzelała już nieźle. Derra pamiętała, jak mama pomagała jej starszej siostrze naciągać łuk, jak układała ręce córki do strzału. Przed rokiem Emana upolowała sarnę i kilka kaczek, najbardziej była dumna z tej właśnie sarny. Derra była jeszcze za młoda na polowanie. Dzieci w jej wieku zajmowały się podczas wędrówki zbieraniem grzybów, owoców leśnych i wybieraniem jaj z gniazd.

Ulubioną potrawą dziewczynki był gulasz z węża, przygotowywany przez Emanę. Przed rokiem osobiście schwytała żmiję, nie udało jej się jednak uniknąć ukąszenia. Ranka trochę szczypała przez kilka dni, w tym roku musi być więc ostrożniejsza. Uczyła się także gotować. Lubiła obsługiwać ruszt, który wyciągano głównie wieczorem, podczas noclegu. Pieczono na nim zdobyte mięso, by posilić się nim po dwunastu godzinach aktywności. Do wszystkich prawie posiłków Entorianie dodawali mieszanki ziołowe. Zioła były tym, czego podczas wędrówki zabraknąć nie mogło, wieziono więc ich na wozach całe worki. Zbieranie i mieszanie ziół było w Entorii jedną ze sztuk, rzemiosłem przekazywanym z pokolenia na pokolenie.

Niebo było wciąż bezchmurne. Teraz mama dosiadła Strzały, a tata wziął Kantana obok siebie, na kozioł. Emana maszerowała dziarsko za stadem owiec, jej nagie łydki połyskiwały w słonecznym blasku. Miała mocne nogi, potrafiła iść przez sześć godzin dzień w dzień bez zmęczenia. Jeśli się było entoriańską pasterką, trzeba było być silną i wytrzymałą. Derra wiedziała, że będzie taka sama jak siostra.

Czasami zrównywała się z nią Milla lub jej brat, czternastoletni Ergon, dzieci wuja Devrona, towarzysze dzieciństwa Derry. Rozmowy skracały i uprzyjemniały czas. Dzieci z respektem wpatrywały się w sylwetkę jadącej przed nimi babki. Nikomu z gromady nie wolno było jej wyprzedzać. Kendra Amno miała już sześćdziesiąt dwa lata, wciąż była jednak majestatyczną i krzepką kobietą. Jeździła wy-

prostowana, dumna, ufna w swoją siłę i władzę. Włosy, mocno posiwiałe, splatała w warkocz, jej szyję ozdobił naszyjnik z wilczych zębów, na ramieniu wiozła kołczan pełen strzał, a do siodła miała przytroczony łuk. W każdej więc chwili, jeśli zaszła taka potrzeba, mogła po niego sięgnąć. Ząb czasu nie nadgryził jej w ogóle, nie licząc siwych włosów i zmarszczek. Ciało Kendry było równie sprawne jak czterdzieści lat temu.

Urodziła dwoje dzieci. Córka Armina miała czterdzieści jeden lat, syn Devron trzydzieści dziewięć. Cieszyła się piątką wnuków, z których najstarsza, Eman, osiągnęła pół roku temu pełnoletność. Wszystkie swoje wnuczeta traktowała surowo, nie faworyzowała ani Ergona, ani Milli, ani Derry, ani malutkiego Kan-tana, ani Emany, w której powinna dostrzegać swoją następczynię.

Tyle że to Derra czuła się jej następczynią, choć przezorniej było zachowywać tę myśl dla siebie. Czas przecież płynie i kiedyś to właśnie Derra poprowadzi plemię ku góróm. Wierzyła w to bardzo głęboko.

Nawet w miesiącu Flamerule pamięć o zimie nie opuszczała Entorian. Zima była czymś okropnym, to właśnie w tym czasie najczęściej umierali starzy ludzie. Nawet nie chłód był najgorszy, lecz wszechobecna ciemność i towarzyszące jej przygnębienie. Starcy stojący jedną nogą nad grobem często nie wytrzymywali krytycznych miesięcy Nigtal i Hammer, i odchodzili tam, gdzie nie ma już żadnego smutku.

Tym, co zima miała najpiękniejszego, były zorze polarne, najwspanialsze zjawisko Północy. Nie raz w zimie Derra wymykała się z domu wieczorem, gdy powinna już spać. Wraz z kuzynami biegli na pobliskie wzgórze. Tam siadali przytuleni do siebie, drżąc z chłodu, i długo wpatrywali się w barwne smugi na aksamitnie czarnym nieboskłonie. Derra jako najmłodsza siadywała zwykle między Ergonem a Millą, czując płynące od nich ciepło i miłość. Barani kozuch i czapka też grzały. W takich chwilach dzieci mówiły niewiele, kontemplowały to piękno, które dane było im oglądać.

Wreszcie jednak senność brała górę i dzieci wracały do domów. Derra zachodziła najpierw do warsztatu taty. Tata malował farbami olejnymi misternie

rzeźbioną, malutką szkatułkę, którą zamierzał potem jeszcze powlec żywicą. Siedział przy swoim pokrytym rozmaitymi narzędziami, farbami i pędzlami stole w pobrudzonym fartuchu, z rękami brudnymi, stwardniałymi, pokrytymi drobnymi zadrapaniami. Wszędzie wokół poniewierały się kawałki drewna i wióry. Tkwiły one nawet w miękkich, gęstych, ciemnozłotyach włosach taty. Dziewczynka wyskubywała te trociny spomiędzy jego loków, a potem obejmowała pieśczośliwym ruchem jego szyję i wtulała twarz w tę burzę żywej miedzi. Mężczyzna śmiał się, mocno tulił dziewczynkę, swoją ukochaną córeczkę, „Elaysię”, swoją nadzieję na przyszłość, i wreszcie mówił:

– Idź spać, Piesku. Już późno.

Derra szła więc do domu. Mama ułożyła już synka do snu i teraz siedziała w wysprzątanej kuchni, poważna, skupiona, wpatrzona w ciemne okno. Entoriańskie wioski były od dawna zelektryfikowane i żarówka pod sufitem oświetlała całą przestronną, czystą, pełną drewnianych sprzętów kuchnię. Na widok córki mama zrywała się na równe nogi i zaczynała mówić prędko, podniesionym głosem:

– Co ty wyprawiasz, Derro? Gdzie się podziewasz o tej godzinie? Wczoraj podobno widziano na drugim brzegu rzeki wilki, są bardzo wygłodniałe, a ty... Och, Derro! Gdyby twoja babka się o tym dowiedziała!

Dziewczynka milczała, bo i co mogła odpowiedzieć? W takich chwilach zaczynało się w niej budzić coś na kształt żalu, że przysporzyła mamie zmartwienia. Zamiast martwić najbliższych, powinna się o nich troszczyć i chronić przed wszelkimi kłopotami. Za nic w świecie nie wydałaby przed mamą Ergona i Milli, towarzyszy jej beztroskich eskapad, gdyż wtedy sprawa na pewno doszłaby do uszu Kendry Amno.

– Biegnij na górę i spać!

Teraz Armina Amno mogła spokojnie gasić światło, udać się do sypialni i szykować do snu. Derra była w domu, nic jej nie groziło.

A Derra rzeczywiście biegła po schodach na górę, gdzie sypiała w małym pokoiku z oknem wychodzącym na zachód. Na piętrze było zimno. Na dole wciąż buzował ogień na kominku, na górze też był kominek, ale Emaną znów zapomniała o dołożeniu do niego drewna i ogień dawno wygasł. Derra była zbyt śpiąca, by wykonać

tę pracę. Nie było zresztą bardzo zimno, na pewno nie poniżej dziesięciu stopni ponad poziom topnienia lodu, a Derra była nieodrodną córą Północy. Nie wolno jej było bać się chłodu.

Zdejmowała kozuch, czapkę, ciężkie trzewiki, wskakiwała w kapcie i dopiero wtedy zauważała, że światło w pokoju Emany wciąż się świeci. Postanawiała zajrzeć jeszcze na moment do siostry. Emany leżała na łóżku, jej cudowne miedziane włosy rozsypywały się na białej poduszce, obok głowy leżała otwarta książka. Koc zsunął się z niej prawie całkowicie, prawa ręka zwisała nad podłogą, nagie, jasne ramię pokryło się gęsią skórą, piersi podnosiły się i opadały w rytm oddechu, ciężkie powieki przykrywały oczy zmęczone długim czytaniem. Siostra znów zasnęła nad lekturą. Na ustach Derry wykwitwał uśmiech pełen czułości i pobłażliwości. Troskliwie przykrywała Emanę kocem, zamykała książkę i odkładała ją na biurko, a potem układała zziębniętą rękę na łóżku. W przypiływie szczególnej czułości muskała wargami tę wąską, białą, szorstką od pracy dłoń, wreszcie wstawiała i szeptała:

– Śpij dobrze, Emano!

Gasiła światło, zamykała drzwi i wracała do siebie. Szybko słała łóżko i rozbierała się do snu, ale zanim się położyła, klękała jeszcze, by porozmawiać z Wielkim Duchem. Rozmawiała z nim każdego wieczoru, a że nie odpowiadał?... Ależ odpowiadał, tyle że nie słowami. Odpowiadał tymi wszystkimi dobrymi rzeczami, którymi obdarzał dziewczynkę, cudownym, wolnym od zmartwień życiem, które prowadziła. Dał jej kochających rodziców: pełnego ciepła tatę i mamę, jak wszystkie kobiety z rodu Amno wyniosłą i surową, nie kładącą się jednak spać, póki obie córki nie wróciły na noc do domu. Podarował jej Emanę, bez której Derra nie wyobrażała sobie życia, i malutkiego Kan-tana, który sprawił, że Derra poczuła się nagle dużą dziewczynką, odpowiedzialną starszą siostrą zajmującą się z powagą małym braciszkiem.

Lubiła się modlić, nigdy nie zapominała o wieczornej modlitwie. Nie miała wątpliwości co do tego, że Wielki Duch istnieje. Był dla niej równie realną istotą jak otaczający ją ludzie. Kochała z całego serca tę dobrą i opiekuńczą Nadistotę, czuła przy sobie Jej obecność, powierzała Jej wszystkie swoje troski i radości. Modliła się

o pomyślność nie tylko dla siebie, ale i dla rodziny, łącznie z Ergonem, Millą, wujem Devronem, wujenką Elantą, babką Kendrą i dziadkiem Viljarem. Dziękowała za cały piękny świat stworzony przez Wielkiego Ducha, za wszystkie cudowne rzeczy, które oglądała przez cały rok, za błękit nieba, zielen traw, zorze polarne, letnią symfonię blasku, Strzałę, Żrebaka, owce, kwiaty, rzeki i jeziora. Dziękowała za to, że urodziła się Entorianką, pasterką, a nie kimkolwiek innym.

Dopiero potem wskakiwała do łóżka, otulała się dwoma kocami i zasypiała twardym snem bez koszmarów, a jeśli już coś jej się przyśniło, to były to same cudowne sny. Piękno i radość bez reszty wypełniały jej serce, a także miłość i poczucie odpowiedzialności. Czuła się odpowiedzialna za całą gromadę, całą Entorię, za całe Imperium. To był jej świat, była jego częścią, maleńką iskierką, i nie pragnęła stać się niczym więcej. Pragnęła przyczynić się najlepiej jak umiała dla dobra najpierw społeczności, w której żyła, potem ojczyzny, aż wreszcie całego Imperium Kiramu, które też przecież było jej wielką ojczyzną. Mówiła biegle językiem gondwańskim rozpowszechnionym na całym kontynencie i nazywanym Wspólną Mową. Nie było w niej egoizmu, nie znała nienawiści, nad lękami zaś, które czasami rosły w jej duszy, umiała panować, nie pozwalała, by one zapanowały nad nią. Była w niej twardość stali, świeżość wiosennej trawy, jasność gwiazd, spokój nocy i delikatność młodej brzozy.

ROZDZIAŁ II

ALDORENT

Pociąg mknął we wnętrzu mrocznego tunelu szybko jak strzała i cicho jak kot. Tylko dworce były oświetlone, w samych zaś tunelach, pomiędzy stacjami, panowała całkowita ciemność.

Nie było to jakieś miejskie metro, ale dalekobieżny pociąg zatrzymujący się tylko na największych stacjach, rozwijający na najdłuższych odcinkach prędkość ponad trzystu kilometrów na godzinę. Ponieważ Sangacja dawno odeszła od nieekonomicznych, niebezpiecznych i męczących podróży koleją naziemną, wraz z rozwojem techniki zdecydowano się przenieść cały transport kolejowy pod ziemię, pozostawiając powierzchnię planety wyłącznie pojazdom kołowym.

W krajach barbarzyńskich budowano dopiero pierwsze naziemne linie kolejowe, takie jak ta łącząca Polinię z Buffalo. Aldorent miał nadzieję, że nie będzie musiał pojechać jednym z tych hałaśliwych, niepewnych pod względem technicznym pociągów. Wciąż nie wiedział, na czym ma polegać jego nowa misja. Miał się tego dowiedzieć dopiero w Polinii od kolegi, który – według planu – miał czekać na niego na dworcu.

Tajemniczość marszałka trochę go denerwowała. Wciąż mówiono mu niewiele, mimo że zaszedł już bardzo wysoko. Od pięciu lat był funkcjonariuszem Zbrojnych Sił Sangacji, elitarnej jednostki wojska przyjmującej w swe szeregi tylko starszannie wyselekcjonowanych, młodych, zdrowych pod każdym względem i najsilniejszych fizycznie mężczyzn.

Właściwie do ZSS zwerbowano go o wiele wcześniej. Został wybrany już na pierwszym roku Akademii Wojskowej, i od owego dnia cała jego edukacja nakierowana była na jeden cel. Miał stać się członkiem organizacji, która działała niemal jak sekta. Największy nacisk kładziono w Akademii na ćwiczenia fizyczne i zwiększanie wytrzymałości organizmu, ale także wyrobiono u niego poczucie bezwzględ-

nej lojalności wobec kraju oraz przymus całkowitego posłuszeństwa rozkazom przełożonych. Sprawdzał się, był dobry, awansował więc szybko. Od dwóch i pół roku miał status Eliminatora, co oznaczało dodatkowe przywileje. Podlegał bezpośrednio marszałkowi, zaś poza ZSS był prawie bogiem. Budził ogromny respekt, a podporządkowanie się jego rozkazom było obowiązkiem każdego Sangacjanina. Kiedy kroczył w długim do ziemi, czarnym płaszczu, czarnym, opinającym szczelnie ciało uniformie oraz hełmie w takim samym kolorze z maską zakrywającą całą twarz, idący z naprzeciwka ludzie schodzili mu z drogi. Oznaczało to również wyższe zarobki, a także częste wyjazdy za granicę. Akurat to wcale mu nie przeszkadzało, bo lubił podróżowanie.

Teraz też założył swoje robocze ubranie, strój Eliminatora. Wkładał je zawsze, gdy chciał pozostać nierozpoznany, uniknąć zbędnych pytań czy spojrzeń przechodniów. Wzbudzał taki lęk, że pozostał w przedziale sam. Ten zabobonny strach zwykłych ludzi trochę go dziwił. Nie zamierzał przecież nikogo skrzywdzić. Może jednym z powodów był jego zmieniony, modulowany przez urządzenie w hełmie głos. Ta sztuczka pozwalała mu na jeszcze większą anonimowość. Był rozpoznawany tylko jako jeden z Eliminatorów, nie zaś jako Aldorent Morrison.

Dzięki hełmowi mógł widzieć dalej i ostrzej, miał również wmontowany noktowizor oraz kamerę termiczną. Mógł także słyszeć na częstotliwościach wyższych lub niższych niż z reguły słyszą ludzie, wspomagany był też jego zmysł węchu. W warunkach zagrożenia życia aparatura oddychała za niego oraz podtrzymywała akcję serca. Kiedy uruchamiał całą tę maszynę, w tak dużym stopniu wspomagała ona naturalne funkcje jego organizmu, że stawał się prawie cyborgiem. Pewnie był to jeden z wielu powodów lęku, jaki czuli przed nim rodacy. Ale przecież zgodził się na tę izolację od reszty społeczeństwa z chwilą wstąpienia do ZSS, a może dużo wcześniej...

Wysiadł na głównym dworcu Polinii i natychmiast zaczął się bacznie rozglądać. Nigdzie nie dostrzegł ani znajomej postaci kolegi, ani podobnego do siebie cudaka w czarnym płaszczu. Na peronie panował niesamowity ścisk, jednak jego samego nie potrącił nikt. Skierował się ku ruchomym schodom i wyjechał na górę.

Przywitała go znajoma hala dworcowa, pełna podróżnych udających się podziemną koleją w rozmaitych celach do chyba wszystkich miast Starego Kraju. Głośnik podawał miłym kobiecym głosem komunikaty w języku angielskim, a także we Wspólnej Mowie dla znajdujących się w hali Kiramczyków.

Aldorent poszukał ich wzrokiem. Rzeczywiście, na jednej z ławek oczekiwała na pociąg para Entorian, kręciło się też kilkoro przedstawicieli rasy północnej, szczupłych, jasnowłosych, pewnie Kenlacjan. W rogu, przy kasie numer dziewięć, stał gość w tych stronach nietypowy: mężczyzna niski, drobny, śniady, czarnowłosy i skośnooki. Bez wątpienia Gardyjczyk. Obywatele Konglomeratu Gardu zjawiali się na Północy rzadko. Ich język był najtrudniejszym z języków Imperium, zaś obyczaje dziwne i niepojęte nawet dla innych Kiramczyków, cóż dopiero dla Sangacjan.

Aldorent świetnie znał Wspólną Mowę. Bez umiejętności posługiwania się nią nie załapałby się na żadną zagraniczną misję, nie zostałby nigdy Eliminatorem, nie mógłby pracować w ZSS, nie przyjęto by go nawet do Akademii. Dziękował wszystkim bogom, że wystarczała znajomość tylko jednego języka, by móc porozumieć się ze wszystkimi Kiramczykami. Stara Ziemia nigdy do tego nie dojdzie, pomyślał. Pod pewnymi względami osiągnięcia Imperium były doprawdy imponujące. No tak, ale ludzie to nie Kiramczycy. Tych tutaj można prowadzić jak barany na sznurku, nas nie.

Znał ten dworzec dobrze, bo zawsze prawie wracał do domu przez Entorię. Lubił ten kraj, bo było w nim coś czystego i pierwotnego. Zaczął się właśnie zastanawiać, czy płynący z głośnika głos naprawdę należy do kobiety, czy jest tylko komputerową projekcją, gdy podszedł do niego sobowtór i zapytał głosem robota:

- Aldo?
- Któż by inny? To ty, Will?
- Któż by inny, przyjacielu?

Drugi z Eliminatorów nieco rozminął się z prawdą, gdyż Aldorent nie uważał go za przyjaciela. Byli kolegami z pracy, ale nie przyjaciółmi. Aldorent nie miał przyjaciół. Miewał „przyjaciółki”, jak nazywał kobiety, które czasem się do niego wprowadzały, ale one również nie były jego przyjaciółkami. Dawał im to, co zwykle

mężczyzna ofiarowuje kobiecie, w zamian brał to samo i nie oczekiwał niczego więcej.

Z reguły współpracował właśnie z Williamem Blackiem. Często podróżowali razem i Aldorent znał na wylot wszystkie jego przyzwyczajenia. Ale nawet on nie odróżniłby Willa pod tą maską od innych Eliminatorów. Prawie wszyscy Eliminatorzy byli do siebie pod pewnymi względami bardzo podobni. Odznaczyli się wysokim wzrostem i muskularną budową ciała, i przez to byli w pełnym umundurowaniu nierozróżnialni nawet dla siebie nawzajem.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

– Mam zaparkowany wóz na Dwudziestej Trzeciej ulicy. W samochodzie wyjaśnię ci wszystko – odparł William.

Wyszli z hali dworcowej ramię w ramię i stanęli w oślepiającym czerwcowym słońcu. Pogoda dopisywała już od połowy maja. Zawsze tak było tu na Północy, jakby na zamówienie barbarzyńców. Najmniej chmur pojawiało się na niebie właśnie w najdłuższych dniach roku. Aldorent cieszył się, że jego ciało opina szczelnie kombinezon, utrzymujący stałą optymalną temperaturę i wilgotność organizmu. Nie lubił upałów. Wprawdzie tu, w Entorii, temperatura w cieniu sięgała najwyżej dwudziestu dwóch stopni, ale w pełnym słońcu było dużo więcej. Kiramczykom nie przeszkadzało to w ogóle, ale oni byli przynajmniej dziesięć razy bardziej odporni na przegrzanie niż ludzie.

Znów to nieznośne uczucie dyskomfortu. Typowa polinejska ulica, kilkupoziomowa jezdnia, serpentyny dróg, tysiące pojazdów sunących cicho jeden za drugim, a na chodnikach tysiące przechodniów spieszących jak co dzień do pracy i do szkoły. Sięgające chmur wieżowce, ogromne pawilony handlowe, w których można było robić zakupy przez cały dzień i jeszcze nie mieć dość, reklamy przyciągające wzrok feerią świateł. Centrum wielkiego miasta, cud techniki, wyznacznik postępu, powód do dumy dla całej ludzkości, reprezentowanej tutaj przez czterdziestomilionowy sangacki naród. Jakże może mu się to nie podobać? Jakże ma prawo wybrzydzać na coś, co niewątpliwie odróżnia ich, prawdziwych ludzi, od tych humanoidów o rozumach małych?

A jednak zbudziła się w nim tęsknota za szumiącymi słodko lasami i otwartymi przestrzeniami Entorii, za gruntowymi drogami, na których podrzucało jak wszyscy diabli, za widokiem drewnianych chat, za czym tam jeszcze... Cholera! Żeby patrząc na taką autostradę, tęsknić za wąskimi, przytulnymi, wybrukowanymi uliczkami Archad, gdzie miesiącami nie widuje się samochodu! Czemu w jego głowie rodzą się takie myśli? Gdyby mógł usłyszeć je idący obok i nie domyślający się niczego Will! Te myśli kiedyś go zgubią.

Czego mu brakowało? Niczego przecież... Miał trzydzieści lat, był młody, zdrowy, silny, wspaniale umięśniony – przy wzroście stu dziewięćdziesięciu centymetrów ważył ponad sto kilogramów i nie był to bynajmniej zbędny tłuszcz – przystojny, zarabiał dużo, awansował szybko. W społeczeństwie był już kimś ważnym i szanowanym, na dodatek, w przeciwieństwie do swoich kolegów po fachu, miewał kobiety. Młode i piękne, które odchodziły od niego szybko, ponieważ zdecydowanie więcej czasu spędzał w pracy niż w domu. Albo wtedy, gdy zaczynał mówić im o swojej pracy zbyt dużo. Ale przecież tak szybko mógł znaleźć następną. Kobiet w Sangacji nie brakowało.

Nie miał za to prawdziwych przyjaciół. Nie czuł szczególnej potrzeby bliskości z ludźmi. Poza tym kto chciałby się przyjaźnić z człowiekiem, który bez zmrużenia oka pociąga za spust, jeśli tylko dostanie taki rozkaz? Prawdziwy przyjaciel to ktoś, kto akceptuje cię takim, jaki jesteś, i zawsze gotów jest dzielić twoje radości i smutki. A kto chciałby dzielić radości i smutki człowieka, który następnego dnia może dostać zlecenie nawet na swojego najlepszego przyjaciela, i będzie musiał je bez wahania wykonać?

Samochód Willa okazał się być jeepem na dużych, szerokich, przystosowanych do trudnego terenu kołach. Aldorent wywnioskował z tego, że celem ich podróży będzie któryś z krajów Kiramu, a nie Sangacja. Na drogach Kiramu żaden delikatny miejski samochodzik, stworzony do jazdy po idealnie gładkim asfalcie, nie sprawdziłby się na pewno. Poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Mógłby nawet nazwać ten stan szczęściem, gdyby Eliminatorowi wolno było je odczuwać.

Will prowadził. Szybko wydostali się z miasta obwodnicą prowadzącą w kierunku północno-zachodnim, co oznaczało, że wjechali na tereny należące do Ento-

rian. Aldo odpiął od ramion płaszcz, a następnie zdjął hełm, spod którego wyłoniła się pociągła, śniada twarz ciemnowłosego mężczyzny. Uśmiechnął się i zapytał ponownie:

– Co mamy zrobić?

William oddał na chwilę wóz automatycznemu kierowcy i również pozbył się krępujących części stroju. Był nieco starszy od Aldorenta i odznaczał się jaśniejszą karnacją. Ujął ponownie kierownicę i odparł:

– To dziwna misja.

Takie wyjaśnienie musiało na razie wystarczyć Aldorentowi. Uchylił okno od strony pasażera. Otoczył go chłodny, orzeźwiający podmuch, nie mający nic wspólnego z gorącym wiatrem Quatessinu czy krain Kiramu Środkowego, leżących daleko od łagodzącego klimat oceanu. Po obu stronach szerokiego gościńca wznosiły się stare, sosnowe lasy. Żywiczny aromat drażnił nozdrza Aldorenta, budził dziwną tęsknotę, ale i radość, której trudno było się oprzeć.

W Sangacji nie było już lasów. Wszystkie zostały wykarczowane pod pola uprawne, których przeludniony kraj potrzebował coraz więcej. Drewno jako materiał budulcowy nie było niezbędne, świetnie zastąpiły je tworzywa sztuczne. Większość ludzi dawno też zapomniała, jaką przyjemność daje spacer po lesie. Las jawił się jako groźne i nieprzewidywalne zjawisko, w którym czają się dzikie bestie. Tylko nieliczni Sangaccjanie, tacy jak Aldorent, znali urok dziewiczych puszczy Entorii.

Droga opadała lekko w dół wzgórza i Will jechał powoli, by móc w każdej chwili wyhamować, jeśli na drodze pojawiłaby się sarna lub dzik. Jazda nie była uciążliwa, amortyzatory działały znakomicie, dzięki czemu samochód nie trząsał się ani nie kołysał na boki. Aldorent rzucił okiem na podświetlaną tarczę zegara. Dochodziła druga po południu. Zegar pokazywał też datę, mianowicie szósty czerwca 576 roku, a jeszcze niżej tę samą datę według rachuby Kiramczyków, by kierowca lub pasażer nie musiał w razie nagłej potrzeby przeliczać w pamięci jednego kalendarza na drugi. Płynący właśnie miesiąc nosił we Wspólnej Mowie zachwycającą, dźwięczną nazwę Flamerule, co znaczyło po prostu Nadejście Lata.

Wiedział doskonale, że kalendarz Kiramu nie pokrywa się z kalendarzem Sangacji. Flamerule nie był ani majem, ani czerwcem. Sangaccjanie zachowali tradycyj-

ne, wzięte ze Starej Ziemi miesiące, zaś Kiramczycy posługiwali się kalendarzem solarnym, w którym początek i koniec czterech pór roku wyznaczały momenty obu przesilen i obu równonocy. Wiosna, lato, jesień i zima podzielone były każde na trzy miesiące, liczące z reguły po równe trzydzieści dni.

Początkiem nowego roku był w Kiramie pierwszy dzień miesiąca Tarsak, będący jednocześnie pierwszym dniem wiosny. Aldorent uważał w głębi ducha, że ten wybór jest ze wszech miar słuszny. Kolejny rok zaczyna się wraz z powrotem słońca i odradzaniem się przyrody, nie zaś w środku zimy, w jakimś abstrakcyjnym, nic nie znaczącym dniu pierwszego stycznia. Była to jedna z tych myśli, które prze-zornie zachowywał dla siebie.

Dla Entorianina więc i każdego innego Kiramczyka płynący dzień był osiem-nastym Flamerule 1626 N.I. Tajemnicze litery oznaczały Nowe Imperium. Wcześ-niej Kiram był rozbity na dziesiątki niezależnych państweczek.

– Czy chodzi o Paulę Higgins?

Paula była zbuntowanym, niebezpiecznym cyborgiem, któremu udało się zbiec na terytorium Entorii. Ściganie i eliminowanie właśnie takich nielegalnych, ukry-wających się przez długie lata między ludźmi maszyn było jednym z obowiązków Williama, Aldorenta i ich kolegów.

– Nie, przecież wczoraj dopadł ją i rozwalił Jeremy Jackson.

Black powiedział to tonem pełnym zdziwienia. Nie rozumiał postępowania kolegów, którzy nie interesowali się takimi najnowszymi ploteczkami w ZSS.

– Co więc tu robimy? – w głosie Aldorenta było coraz więcej zniecierpliwienia.

Will popatrzył mu przez chwilę prosto w oczy i odparł:

– Słyszałeś o operacji „Dzikus”?

– Bardzo mgliście, tylko plotki, nic konkretnego. To jakiś eksperyment, tak?

– Owszem. Operacja „Dzikus” jest eksperymentem polegającym na próbie przystosowania barbarzyńskiego kiramskiego dziecka do życia w naszej społec-zności. Dziecko to ma być dość duże, by pamiętać życie w ojczystym kraju i dobrze posługiwać się swoim językiem, lecz nie na tyle dorosłe, by nie dało się ukształ-tować go zgodnie z naszymi pragnieniami.

– Rozumiem. Nie dość dojrzałe, by nie pozwoliło sobie zrobić prania mózgu, wystarczająco jednak duże, by stawiało opór, by obserwujący je eksperymenciarzy od siedmiu boleści mogli napawać się jego męczarnią i tęsknotą.

– To, co robimy, jest eksperymentem naukowym i niczym więcej. To tak, jakbyśmy schwytali małpę, bo oni niewiele różnią się od małp. Po krótkim namyśle marszałek doszedł do wniosku, że dziecko powinno być Entorianinem, bo to właśnie Entorianie są najbardziej zacofani technologicznie ze wszystkich narodów Kiramu, najbardziej zaś dzicy z Entorian są wędrujący pasterze owiec. Dziecko ma się wywodzić właśnie z takiej gromady.

– Ależ przecież dla tego biedactwa to będzie jak przeskok w czasie o kilkaset, a może o kilka tysięcy lat!

– Właśnie o to chodzi, o to chodzi, Aldo! Sprawdźmy, jak to dziecko poradzi sobie w tak odmiennych warunkach. Zbadamy podatność entoriańskiego umysłu na uczenie się, jego elastyczność, jednym słowem rzeczywisty iloraz inteligencji Entorian, bo jak dotąd wszystkie badania w tym kierunku okazywały się porażkami. Nie sposób badać Entorian w ich własnym środowisku, bo jakiej inteligencji trzeba do wypasu owiec... Musimy przenieść jedno z nich na nasz grunt, do naszego świata, dać prawdziwą wiedzę, prawdziwe wyzwania. Spróbujemy przekształcić to dziecko w pełnowartościowego obywatela Sangacji, posługującego się logiką, patrzącego na rzeczywistość w sposób obiektywny, nie zaś kierującego się emocjami i prymitywnymi wierzeniami.

Aldorent milczał ponuro. Wolał nie kontynuować tej dyskusji. Wiedział dobrze, jaki los spotka go, jeśli nie okaże się wystarczająco odporny fizycznie lub, co gorsze, psychicznie, by wykonać bez sprzeciwu każde powierzone mu zadanie. Poinformowano go o tym, zanim został Eliminatorem. Albo podoła swoim zobowiązaniom, albo sam zostanie wyeliminowany. Karą za błędy czy nieposłuszeństwo jest śmierć. Zgodził się na to dawno temu. Jeśli zostanie wydany na niego wyrok, każdy z jego dawnych kolegów będzie miał prawo go zabić. Nawet teraz, w tej chwili, Will mógł go zabić, jeśliby uznał, że Aldorent zdradził ideały ZSS.

Powinien bardziej uważać na to, co mówi, bo pewnego dnia rzeczywiście dośłuży się tego smutnego losu.

– Więc jaka jest nasza rola? – spytał. – Mamy porwać to dziecko, tak?

– Tak, i przywieźć do Derbachii, a tam marszałek zdecyduje o jego dalszym losie.

– Więc nie wiesz, co ma się potem z nim stać?

– To, przyjacielu, wie w tej chwili tylko sam marszałek. Są tajemnice, którymi nasz szef nie dzieli się z nikim.

Aldorent nie mógł się powstrzymać od sarkastycznej uwagi:

– Też mi trudna misja! Niebezpieczna jak cholera! Porwać bezbronne dziecko!

To ma być zadanie dla Eliminatorów?

– Każda zagraniczna misja jest niebezpieczna.

– Tak, pamiętam. Tylko Sangacja jest bezpieczna, reszta świata to dżungla.

– Właśnie, dlatego kazano to zrobić nam, bo tylko my umiemy przetrwać w dżungli Imperium. Możliwe, że będziemy mieć do czynienia z większą liczbą tych dzikusów, że dziecko trzeba będzie wyrwać ze środka pochodu. Wiesz, jacy są ci pasterze. Jeśli próbujesz zrobić krzywdę jednemu z nich, cała gromada staje w jego obronie, a jeśli podniesiesz rękę na dziecko, wydrą ci serce żywcem.

– Oni cholernie dobrze strzelają z łuków, Will.

– Wiem. Sam widzisz, że dostaliśmy bardzo niebezpieczną pracę. Nie mniej ryzykowną od zadania, z którym tak świetnie poradził sobie nasz przyjaciel Jeremy.

– Wolałbym, żeby nie doszło do walki.

Will nie odpowiedział. Jechali dalej w milczeniu, gdyż wyjaśnili już wszystkie związane ze zleceniem kwestie i nic więcej nie mieli sobie do powiedzenia. Łączyła ich tylko praca. Nie martwiło to Aldorenta, gdyż wsłuchiwanie się we własne myśli i podziwianie urozmaiconych krajobrazów Entorii było o wiele bardziej zajmujące niż to, co mógłby mu powiedzieć Will. Całym życiem Williama było ZSS. Od wielu lat nie miał partnerki, a może nie miał jej nigdy. Nie miał też pasji, rzadko odwiedzał rodzinę, nie bywał w nocnych klubach, nie grał w bilard i nie chodził do kina. Pozwolił zamienić się w maszynę do zabijania, był do końca wierny przysiędze, którą złożył. Nie rozmyślał za wiele, działał. Czy coś czuł? A po co miałby czuć? Uczucia wprowadzały zamęt, nie pozwalały skoncentrować się całkowicie na

zadaniu. Pozwolenie sobie na zbędne uczucie mogło kosztować życie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wymagał od Eliminatora uczuć.

– Pokażę ci mapę – powiedział Will i uruchomił wbudowany w tablicę rozdzielczą komputer.

– Matrix, pokaż mapę Entorii – wydał polecenie głównemu serwerowi Sangacji, potężnej jednostce ukrytej gdzieś w podziemiach Derbachii, z którym połączony był każdy sangacki komputer. – Z zaznaczonymi trasami przemarszu gromad pasterskich. Pokaż też, w którym miejscu jesteśmy.

Na ekranie ukazała się żądana dwuwymiarowa mapa z wijącymi się z północy na południe niebieskimi, grubymi liniami przemarszu, oraz czerwonym punkciem niemal dotykającym najdalej na zachód wysuniętej linii. Gdy Aldorent przyjrzał się dokładniej, dostrzegł, że czerwony punkcik przesuwają się bardzo powoli.

Will również popatrzył na ekran i odezwał się:

– No widzisz, dotarliśmy prawie na miejsce. Jeszcze trochę na wschód i powinniśmy ich zobaczyć.

Okolica bardzo się zmieniła. Jechali teraz przez słabo zalesioną równinę, na której tu i ówdzie wyrastała na horyzoncie wieś. Po pastwiskach włączyły się stada bydła i owiec. Po ich prawej ręce migotała w oślepiającym słońcu srebrna wstęga rzeki. Wnioskując z mapy, musiała to być Serpentyńka, dość płytka, z licznymi brodami, dzięki którym przekraczanie jej nie nastęczało wędrowcom problemu. Aldorent nie pamiętał, czy na Serpentyńce są jakieś mosty, chyba nie jechał nigdy przez żaden z nich. Nad brzegami rzeki rosły gęsto krzewy, a płaczące wierzby zwieszały smutno gałęzie nad płynącą zwawo wodą.

– Są! – szepnął podekscytowany Will.

Rozłożyli się tak blisko, że aby ich zobaczyć, Aldorent nie musiał sięgać po lornetkę. To była bez wątpienia obozująca nad rzeką gromada pasterska. Gotowano strawę, zbierano suche gałęzie, myto się, pilnowano stad zwierząt. Aldorent wiedział bardzo dużo o zwyczajach pasterzy entoriańskich, gdyż w ciągu ostatnich dwóch lat przeczytał przynajmniej trzydzieści książek o Entorii z biblioteki miejskiej, nie wspominając o publikacjach w Matrixie.

Nic nie wskazywało na to, by Entorianie zauważyli samochód. Byli na tyle daleko, że mężczyźni dostrzegali jedynie poruszające się figurki ludzkie, lecz nie rozróżniali twarzy. Will zatrzymał wóz i sięgnął do skrytki po broń. Aldorent odpiął od pasa kajdanki i sięgnął na tylne siedzenie po hełm.

– Zostaw – powstrzymał go towarzysz. – Po co? I bez sprzętu jesteśmy dziesięć razy szybsi i bystrzejsi od każdego dzikusa.

– Ale oni mają łuki, Will. Chciałbym wrócić do domu z całą twarzą.

William wahał się jeszcze przez moment, a potem skinął głową i również sięgnął po hełm. Ich sposób postrzegania świata zmienił się momentalnie. Teraz byli nadludźmi. Porozumiewali się za pomocą fal elektromagnetycznych generowanych przez ich mózgi i przetworzonych za pomocą aparatury w kasku tak, że docierały do mózgu partnera jako słowa. Niektórzy nazywali to telepatią.

Aldorent nie przepadał za tą funkcją, gdyż pozostawał anonimowy tylko do momentu jej uaktywnienia. Każdy mózg wysyłał specyficzne dla danej jednostki fale. W ten i często tylko w ten sposób kompletnie wyposażeni Eliminatorzy identyfikowali się nawzajem. Aldo korzystał z nadajnika, jak i z całego hełmu, tylko wtedy, kiedy musiał. Na co dzień wolał być człowiekiem.

– Do rzeki! – odebrał myśl Williama. – Pod osłoną drzew będziemy trudniej zauważalni.

Przekradli się więc aż do zalesionego zachodniego brzegu Serpentyńki i posuwali przed siebie zgięci wpool, bardzo czujni. Wydawało się, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Woda rozbryzgiwała się wesoło na kamieniach, z daleka zaś dobiegały ich rozmowy i śmiechy Entorian. Nie wychwytywali słów spośród strzępów niesionych przez wiatr rozmów, ponieważ pasterze posługiwali się między sobą nie Wspólną Mową, ale entoriańskim.

Rzeka skręcała gwałtownie na wschód, tworząc zakole, zaś na jej lewym brzegu utworzyła się niewielka piaszczysta plaża, ukryta za murem gęstych zarośli. Na tej plaży odpoczywała trójka dzieci, a raczej dwoje dzieci i młoda dziewczyna. Mały, kilkuletni, zupełnie nagi chłopczyk lepił babki z piasku, zaś obie dziewczynki, zarówno ta młodsza, jak i ta dojrzała, siedziały obok siebie i rozmawiały z przejęciem. Obie były bose i wygrzewały jasne stopy w słońcu. Nie zdjęły ubrań, a może już je

z powrotem założyły, gdyż na plecy i ramiona opadały im strąki mokrych rudych włosów.

– Któreś się nadaje, Will?

– Chłopczek nie. Pewnie nawet nie potrafi jeszcze dobrze mówić, niczego nie będzie pamiętał. Ta starsza też nie, ona będzie pamiętała za dużo.

– A więc...

– Tak.

Nie musieli kończyć swoich myśli. Obaj świetnie wiedzieli, co muszą zrobić. Pewnym, sprężystym krokiem wyszli spomiędzy drzew i zbliżyli się do dzieci. Zanim któreś z tamtej trójki zdążyło krzyknąć czy uciec, Aldorent obrócił młodszą dziewczynkę na brzuch, a potem stanowczo, lecz tak, by nie uczynić jej krzywdy, wykręcił rudowłosej ręce do tyłu i zapiął na nadgarstkach lekkie i mocne kajdanki z tytanu. Dziewczynka próbowała mu się wyrwać i krzyczała coś po entoriańsku, ale mężczyzna trzymał ją mocno.

Na twarzy starszej Entorianki odbiło się najpierw przeogromne zdumienie, a potem złość i wreszcie nienawiść. Niewiele myśląc, dziewczyna chwyciła leżący na brzegu kawałek drewna i zamierzyła się nim na napastnika. Celowała w hełm i z pewnością uderzyłaby mocno. Nie zdążyła tego zrobić, ponieważ Will błyskawicznie sięgnął po broń. Aldorent był jeszcze szybszy. Poderwał się z kolan i jedną ręką wytrącił Willowi pistolet, drugą zaś uderzył dziewczynę z całej siły w skroń. Nieprzytomna nastolatka potoczyła się po piasku, a zaskoczony William rozcierał dłoni. Nie sięgał powtórnie po leżącą w piachu broń.

– Co ty zrobiłeś? Dlaczego...?

– Po co zabijać? Wystarczy ją ogłuszyć, po co zaraz zabijać?

– Przecież to tylko dzikuska, jedna więcej, jedna mniej, jaka to różnica?

Aldorent nie odpowiedział. Może dobrze, że wybrał milczenie, gdyż każde kolejne zdanie mogło go kompletnie pogrążyć. Tymczasem skrępowana dziewczynka zdołała wstać na nogi i biegła w kierunku gromady, krzycząc głośno. Natychmiast puścił się za nią w pogoń. Chwycił ją wpół i zakrył jej usta dłonią. Ugryzła go mocno, do krwi, ale nauczył się już nie zwracać większej uwagi na ból. Podniósł dziecko, przerzucił je sobie przez ramię i wrócił do Williama. Chłopczyk płakał głośno.

– Nie traćmy czasu – nadał do Willa. – Wracajmy do wozu. Może usłyszeli jej krzyk. Nie potrzeba nam więcej problemów.

Pobiegli w kierunku stojącego wciąż na drodze samochodu, Aldorent obarczony swoim żywym balastem, zostawiając wciąż nieprzytomną nastolatkę oraz płaczącego malca. Will znów prowadził. Aldorent usadził dziewczynkę na tylnym siedzeniu. Aby zbyt nie wierciła, poprosił kolegę o drugą parę kajdanek i spiął stopy Entorianki.

Usadowił się na przednim fotelu dla pasażera i zdjął hełm. Kolega poszedł w jego ślady, a potem zawrócił samochód i skierował na drogę powrotną, czyli na południowy wschód, ku Polinii. Złapał jakąś sangacką stację radiową, by wysłuchać najnowszych wiadomości z kraju. Płace nauczycieli znów wzrosły, rolnicy wciąż strajkowali. A potem popłynęła jakaś smętna piosenka, jeden z najmodniejszych ostatnio przebojów.

– Dokąd ją wieziemy? – spytał Aldo po angielsku.

– Na razie do Kwatery Głównej. Tam marszałek zdecyduje, co zrobić z nią dalej.

Młodszy z Eliminatorów odwrócił się i spojrzał na dziewczynkę. Wcisnęła się w kąt i patrzyła na Aldorenta wrogo spod ściągniętych brwi, a ręce zacisnęła w pięstki. Była w tym wzroku odwaga, a nawet zuchwałość. Bez wątpienia bała się potwornie, ale robiła wszystko, by nie okazać strachu. Jej sytuacja była beznadziejna, była tu sama i bezbronna przeciwko dwóm wyszkolonym do walki mężczyznom, a jednak te oczy ciskały gromy.

A potem Aldorent aż wstrzymał oddech, gdyż to była ona! Nie mógł się pomylić, tylko jedna osoba na całym kontynencie miała takie hipnotyzujące, zielone, ciskające pioruny oczy. Rozpoznałby ten wzrok nawet w piekle, wzrok, który odmienił jego życie. To była ona!

ROZDZIAŁ III

DZIECKO SŁOŃCA

Przed dwoma laty wracał przez te tereny aż z Gondwany, stolicy Imperium. Tam, w królewskim mieście Iromadii, spotkał się z samym Imperatorem Kiramem XXXIX. Władca okazał się niezwykle miłym starszym panem o czarnych, nieco posiwiałych na skroniach włosach, wszyscy zresztą członkowie rodu królewskiego charakteryzowali się ciemną, iście południową urodą. Król poświęcił Aldorentowi prawie godzinę. Rozmawiał z nim bez wyniosłości, niemal jak równy z równym. Wszystkie opowieści o ociekającym krwią Imperatorze okazały się bzdurami wyssanymi z palca. Przepych Pałacu Królewskiego i otaczających go ogrodów zrobił na Aldorencie duże wrażenie, osoba zaś samego władcy, a w szczególności jego skromność – jeszcze większe.

Postanowił wrócić do domu przez Entorię, choć na pewno byłoby szybciej, gdyby pojechał przez Semalandię. Jeśli chciał zahaczyć o Entorię, musiał mocno skręcić na wschód i nadrobić sporo drogi, a jednak zdecydował się na to, choć siedział za kółkiem nieprzerwanie od dwudziestu godzin. Był sam i odpowiadało mu to. Nie czuł zmęczenia, przeciwnie, był ożywiony, podniecony i szczęśliwy. Przed godziną zaaplikował sobie zastrzyk pobudzający i senność uleciała natychmiast. Nawet bez zastrzyku czułby się dobrze, gdyż potrafił kontrolować czynności swojego organizmu w sposób dalece przekraczający możliwości zwykłego śmiertelnika, bez snu zaś umiał się obchodzić nawet przez dwie doby.

Udało mu się wreszcie złapać sangacką stację radiową i słuchał teraz jakiejś skocznej piosenki. Palcami prawej ręki wybijał na kierownicy jej rytm. Chciał zahaczyć o Entorię, ponieważ czuł się tutaj dobrze, lepiej niż w ojczyźnie. Zachwycało go w tym kraju wszystko: przyroda, obyczaje, architektura, wielka prostota we wszystkich aspektach życia, charakterystyczna dla tego miejsca. To nic, że drogi były nierówne.

Zamierzał dotrzeć do Archad, stolicy Entorii. Przespaceruje się kilkoma wąskimi, wybrukowanymi uliczkami, popatrzy na czyściutkie, kolorowe kamienice z parapetami przystrojonymi kwiatami, wreszcie znajdzie do którejś z kawiarenek i na dworze, pod baldachimem, wypije spokojnie kawę. Może zamówi pieczeń baranią w ziołach... Albo nie, bo to jest danie obiadowe, a pora była wczesna. Zamówi jajecznicę na masełku z grubą pajdą żytniego chleba i popije to zbożową kawą.

Nie obawiał się posilać w zagranicznych jadłodajniach. Przeszedł niedawno zabieg, który spowodował w jego organizmie kolejną mutację. Teraz jego przewód pokarmowy trawił wszystko, co weń wrzucono, nawet jedzenie Kiramczyków. Dlatego chętnie spróbuje entoriańskich mieszanek ziołowych, sporządzanych z roślin trujących dla zwykłych ludzi. Przyjrzy się życiu miasteczka i jego mieszkańcom, spieszącym do swoich zajęć. Entorianie mieli w sobie tyle entuzjazmu, zwłaszcza latem. A potem pojedzie już chyba prosto do Derbachii. Musi przecież możliwie szybko zdać marszałkowi raport z rozmowy z Imperatorem.

Krajobraz był piękny, a pogoda dopisała wyjątkowo. Błękitu nieba nie mąciła nawet jedna chmurka, mimo to powietrze było chłodne, ponieważ minęła dopiero szósta rano. Zresztą tutaj nigdy nie było upałów. Rzucił okiem na zegar, odczytał datę. Dwudziesty dzień czerwca, według Kiramczyków pierwszy Eleasias. No tak...

Westchnął. Nie miał po co jechać do Archad. Nie dostanie tam żadnego śniadania. Wszystkie lokale będą zamknięte. W ten dzień wypadło największe święto Kiramu, o charakterze głównie religijnym, na Północy obchodzone szczególnie uroczyście. Żaden Entorianin dziś nie pracował. Dla Aldorenta był to jeden z szeregu zwyczajnych dni, podobnie jak dla większości Sangacjan. Miliony ludzi wstały czy wstaną dziś rano, wezmą prysznic, zjedzą śniadanie i udadzą się do swoich zajęć, a potem wrócą z pracy, zjedzą kolację, znów wezmą prysznic i położą się spać. Nie wydarzy się nic szczególnego, nie przeżyją niczego niezwykłego. Nie przejmą się faktem, że dzisiejszy dzień jest o minutę dłuższy od dnia, który minął, czy od tego, który nadejdzie.

Nagle poczuł, że jego ten fakt obchodzi. A nawet bardzo go obchodzi. Mamy letnie przesilenie, nigdy więcej ciemności! Nigdy więcej smutku! Czy nie tak czują Entorianie? Jak nazywa się ta ich pieśń? Natrafił kiedyś na całkiem dobre tłumaczenie.

czenie tego tekstu we Wspólnej Mowie, czytał też kiepski przekład w języku angielskim. Ale on pragnął zaśpiewać pieśń po entoriańsku. Nie potrafił, zanucił tylko cicho melodię. Poczł się tak dobrze i lekko, że mógłby jechać do samego wieczora z chłodnym wietrzykiem rozwiewającym mu przez okno włosy.

Piosenka w radiu urwała się jak nożem uciał, a zamiast muzyki usłyszał na częstotliwości ZSS głos łącznościowca:

– Do wszystkich jednostek: jeśli któryś z was znajduje się teraz w Entorii lub w jej najbliższym sąsiedztwie, niech się natychmiast zgłosi!

Dopadli mnie, pomyślał z irytacją Aldorent. Co za złośliwość losu. Nigdzie nie miał spokoju.

Włączył mikrofon i powiedział:

– Zgłasza się Eliminator Morrison. Jestem w Entorii, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od granicy, sto dwadzieścia kilometrów od Archad. O co chodzi?

– Z nieba pan nam spada, funkcjonariuszu Morrison! Jest problem w Górach Kenlackich. Będzie pan musiał zawrócić i poszukać zaginionego chłopca.

– Jakiego chłopca?

– Z naszego ośrodka kolonijnego u podnóża Strandveinen wymknął się wczoraj wieczorem siedemnastoletni chłopak. Nie wrócił na noc do ośrodka, więc wychowawcy bardzo się niepokoją. Dyrektor ośrodka dzwonił do nas i prosił, żebyśmy wysłali tam funkcjonariusza, a najlepiej Eliminatora. Wie pan, gdzie leży masyw Strandveinen?

– Oczywiście. Jak nazywa się chłopiec?

– Andrew Thomas. Ośrodek nazywa się „Pod świerkami”. Przesyłam panu zdjęcie chłopca, odciski palców i wzór siatkówki oka.

Wszystkie informacje pojawiły się na ekranie jego pokładowego komputera. Patrząc na zdjęcie chłopca, Aldorent nie mógł powstrzymać myśli, że uroda Andrew jest tak bardzo... entoriańska. Płomiennorude włosy, zielone oczy, blada, piegowata cera. Czy to spostrzeżenie mogło być jakąś wskazówką?

– Jadę tam. Proszę zameldować, że przyjąłem zgłoszenie.

Wyłączył mikrofon, ponownie ustawił stację z muzyką i zawrócił na wąskiej, piaszczystej drodze. Jechał teraz na południe Entorii, w kierunku gór. Minął upra-

wiane sangackimi metodami tereny rolnicze w sąsiedztwie Polinii. Przez długi czas po jego prawej ręce wznosiły się ściany zbóż. Ze wzgórza ujrzał cieniutką nitkę autostrady, łączącej Polinię z przygraniczną metropolią Kolorado. Wszystkie sangackie miasta nosiły nazwy zaczerpnięte ze Starej Ziemi. Tylko stolica, Derbachia, zachowała tradycyjną kiramską nazwę. Już przed tysiącem lat, a może wcześniej, wznosiło się w tym miejscu miasto zwane Derbachią. Oczywiście nie miało ono nic wspólnego z dzisiejszą dżunglą ze stali i betonu.

Wiedział doskonale, gdzie szukać masywu Strandveinen. Znał topografię Gór Kenlackich, ponieważ interesował się tym regionem, a w czasach studenckich uprawiał wspinaczkę wysokogórską właśnie w tych wysokich, surowych i majestatycznych górach Północy. Na Strandveinen wspiał się przynajmniej dziesięć razy. W tamtych latach nie było jeszcze ośrodka „Pod świerkami”. Korporacja McLaina otworzyła ten hotel zaledwie rok temu. Zbudowano także wyciąg wiodący na szeroką półkę pod samym szczytem Strandveinen, skąd wwożone wagonikami dzieciaki mogły podziwiać zapierające dech w piersiach widoki.

Dnem szerokiej doliny ślizgał się po kamiennych progach bystry potok. Nazywał się Myrr i cała dolina brała od niego nazwę. Aldorent dotarł do Doliny Myrr dopiero po jedenastej. Znalazł ścieżkę wiodącą do sangackiego ośrodka i po niedługim czasie wjechał na asfaltowy podjazd prowadzący na parking. Stały na nim trzy autokary wycieczkowe, które przywiozły tutaj dzieci i musiały być bezustannie w pogotowiu, by w każdej chwili zabrać któreś z nich, lub wszystkie, do kraju.

Sama placówka był bardzo rozległa i zapewniała wczasowiczom wszelkie rozrywki. Hotel dysponował podgrzewanym basenem, kortami tenisowymi, dyskoteką, grami wirtualnymi, boiskiem do gier zespołowych, siłownią, kinem, nie wspominając o luksusowych apartamentach i dobrej kuchni. Czasami zabierano dzieci w zorganizowanych grupach na wycieczki po okolicy. Grupa szła zawsze pod opieką wyszkolonego i uzbrojonego ochroniarza, kogoś podobnego do niego samego, na wypadek spotkania z Kenlacjanami i biwakującymi tu latem Entorianami.

Aldorent zgadzał się w stu procentach z tym, że dzieci nie powinny samotnie włóczyć się po górach, ale jemu zorganizowane formy wypoczynku nie podobały się ani trochę. Lubił sam być sobie panem i wędrować tam, gdzie oczy poniosą.

W ośrodku panował nerwowy nastrój. Jedna z wychowawczyń poprowadziła Aldorenta, przebranego w swój kombinezon, do gabinetu dyrektora. Czekał on na ZSS-owca razem z zapłakaną kobietą, opiekunką grupy, do której należał Andrew.

– Niech pan siądzie – dyrektor wskazał mu ręką krzesło naprzeciwko biurka.

– Dziękuję, postoję – odparł Aldorent głosem robota.

– Niech pan odnajdzie chłopca – w głosie dyrektora zabrzmiała błagalna nuta.

– Prosimy, niech pan go przyprowadzi do nas całego i zdrowego.

Młoda kobieta wybuchła płaczem i ukryła twarz w dłoniach. Aldorentowi zrobiło się jej żal. Wiedział, że jeśli dzieciak się nie znajdzie, ona i dyrektor wylądują w więzieniu, reszta personelu straci pracę, a ośrodek... Nie, nie zamkną go. Famis McLain był zbyt potężnym człowiekiem, by nie zdołał wybrnąć nawet z takich kłopotów. Jak zwykle ucierpią jedynie ci na dole drabiny społecznej, biedni, ciężko pracujący obywatele. Tacy jak McLain zawsze wychodzą bez szwanku.

– Zrobię, co będę mógł – zapewnił dwoje przerażonych ludzi.

A jednak niewiele mógł zrobić. Najpierw przejrzał teren ośrodka, choć dyrektor zapewnił go, że tutaj szukano chłopca przez całą noc. Potem wjechał kolejką na szczyt góry, podejrzewając, że Andrew dostał się jakoś do wagonika. Jednak żaden ślad nie wskazywał, by nastolatek przebywał w tym miejscu choćby przez minutę. Zresztą przewodnicy z ośrodka przeczesywali skalną półkę kilka godzin wcześniej. Wrócił po swój samochód i zjechał w dolinę. Postanowił ruszyć z biegiem Myrr. Chłopiec mógł przecież wejść do potoku, pośliznąć się na kamieniach, uderzyć głową o głaz i stracić przytomność. Być może leży tam teraz, krwawiący, potrzebujący pomocy...

Na południowym stoku Strandveinen przycupnęło kilka góralskich chat. Drewniane domy kenlackich górali odznaczały się strzelistą, bogato zdobioną architekturą, pełną motywów zwierzęcych i bajkowych. Drzwi wejściowych strzegły z reguły głowy smoków, z których paszcz buchały drewniane płomienie. Aldorent

wybrał się do tej maleńkiej wioski, zapukał do jednej z chat i we Wspólnej Mowie spytał, czy nie widziano kręcącego się samotnie po okolicy rudowłosego chłopca.

– Owszem, ostatnio kręci się tu mnóstwo Entorian – odparła starsza Kenlacjanka, spoglądając na niego z mieszaniną strachu, zdziwienia i niechęci. – Schodzą się tu rok w rok.

– Chłopak nie jest Entorianinem. Jest Sangacjaninem, jak ja.

Wiedział doskonale, że bez maski rozmawiałoby mu się z tymi ludźmi o wiele łatwiej. Nie budziłyby lęku. Podniósł ręce i uwolnił się z hełmu. Na kobietę spojrzęły łagodne oczy przystojnego dwudziestoosmiolatka.

– Nazywam się Aldorent Morrison. Proszę, jeśli mogą mi państwo udzielić jakichkolwiek informacji, będę niezwykle wdzięczny. Bardzo zależy mi na odnalezieniu tego chłopca.

Kenlacjanka uśmiechnęła się wreszcie. Ten Eliminator był inny niż tamci, którzy byli tu przed nim. Nie straszył, nie wymuszał posłuchu. Był taki ludzki.

– Nic nie wiem – powiedziała. – Nie zwracam większej uwagi na rudowłosych chłopców. Może o innej porze roku... Ale teraz, kiedy są tu Entorianie, widok rudego łba nikogo nie dziwi. Szczególnie dzisiaj nie interesuję się specjalnie zaginionymi młodzieńcami. Modlimy się od rana, a o piątej zaczynamy obchody. Jest święto, młody człowieku. Pan także powinien się pomodlić, zamiast pracować.

– Jestem niewierzący – uśmiechnął się z lekkim zawstydzeniem.

– Nie wierzy pan w Wielkiego Ducha? – zmarszczyła brwi. – W tego, który stworzył cały świat, łącznie ze mną i z panem? W tego, któremu poświęcone jest dzisiejsze święto?

– Pomodlę się do wszystkich bogów, jeśli dzieciak się znajdzie.

Zawahała się przez chwilę, po czym odparła:

– Proszę wejść do środka. Może ktoś widział tego pańskiego chłopca.

Dalsze przepytywanie rodziny i sąsiadów starszej kobiety, którym przedstawiła krótko sprawę, nie przyniosło pożądaných efektów. Nikt nie miał pojęcia, gdzie może się znajdować Andrew Thomas. Poza wypiciem kubka gorącej kawy, Aldorent nie odniósł z tej wizyty żadnych korzyści.

Szedł teraz brzegiem potoku i rozmyślał o beznadziejności całej sprawy. Samochód zostawił może kilometr stąd, dobrze zabezpieczony. Uczciwie mówiąc, nie bał się o wóz. Kradzieże na terenie Imperium zdarzały się bardzo rzadko. Jedynie potomkowie Ziemi mieli skłonność do przywłaszczania sobie cudzych rzeczy. Kiramczycy byli bardzo uczciwi. A nawet jeśli ktoś włamie się do samochodu, nie zdoła uruchomić silnika. Komputer reagował tylko na jego głos.

Siadł na kamieniu i zapatrzył się na wznoszące się nad nim dumnie szczyty. Przeniósł wzrok na dolinę, której dnem właśnie wędrował. Strumyk Myrr śpiewał nieprzerwanie wesołe pieśni o bujnym życiu i przepychu letnich miesięcy. Świerki zwieszały nad wodą ciężkie, nabrzmiące żywicą gałęzie, ścieżka wiła się między drzewami, zaś cała dolina obsypana była tysiącami białych i fioletowych krokusów. Na zboczach gór wyrastały niekiedy małe wsie.

Żadnej zaawansowanej techniki, żadnej stali i betonu. W górze, na tle najczystszego błękitu, Aldorent dostrzegł sylwetki dwóch krążących wokół siebie orłów. Prawie raj odzyskany. Zapragnął nagle nie wracać do Sangacji. Spędziłby resztę życia w tej uroczej dolinie, wybudowałby sobie taką drewnianą chatę o strzelistym, kenlackim kroju i zamieszkałby w niej z ukochaną kobietą. I żeby więcej nie musiał nikogo zabijać. Tak, to jest najważniejsze. Nigdy więcej nie zabijać.

A potem uśmiechnął się gorzko. Która kobieta z jego rasy chciałaby tutaj zamieszkać, daleko od cywilizacji, od kraju, od luksusu, do którego przywykła, od wygod, bez których nie umiała się obejść? Nie znał nikogo, kto podzielałby jego tęsknoty. Cała reszta Sangacjan czuła się znakomicie w świecie ze stali i betonu.

Zamierzał właśnie wstać, gdy dotarły do niego niesione przez wiatr strzępy ludzkich rozmów. A raczej niezupełnie ludzkich. Rozpoznał język, choć nie rozumiał słów. Na przełęczy między masywami Strandveinen i Karriokyin rozłożyli obóz Entorianie. Pomyślał, że nie zaszkodzi spytać tych ludzi o zaginionego chłopca. Podniósł się i ruszył w ich kierunku. Hełm niósł w ręce, nie chciał wzbudzić w nich wrogości. Wystarczy, że rozpoznają w nim Sangacjanina, a Sangacjanie nie cieszyli się w Imperium sympatią ani zaufaniem. Niech więc chociaż dostrzegą w nim człowieka, nie maszynę.

Obchody letniego święta już się rozpoczęły. Entorianie pozostawili swój dobytek bez dozoru i zgromadzili się na rozległej hali. Niektórzy przygrywali zgodnie jakąś skoczną melodyjkę na różnych, w większości drewnianych instrumentach. Inni, szczególnie młodzież, płąsali w jej rytm. Starsi posiadali grupami na trawie i wiedli spokojne, niekończące się pogwarki. Dzieci bawiły się pod okiem dorosłych lub w skupieniu, rozszerzonymi oczami obserwowały poczynania rodziców i starszych.

W pewnej odległości od reszty towarzystwa usadowiła się na poduszce, jak na tronie, starsza kobieta. Jej szyję ozdobił naszyjnik z wilczych kłów, w siwiejące włosy wplotła orle pióra, a dłonie, duże, żylaste i spracowane, splotła na kolanach. Musiała być kimś ważnym, gdyż inni spoglądali na nią z szacunkiem. Kilka młodych dziewcząt próbowało zaśpiewać do melodii wygrywanej przez muzykantów. Raz po raz wybuchał tu i ówdzie perlisty śmiech. Obchody nie weszły jeszcze w kulminacyjną fazę, gdy modlono się w skupieniu, spożywano rytualny posiłek, dziękowano Wielkiemu Duchowi za cały szczęśliwie przeżyty rok, a na koniec padano na kolana, by oddać cześć słońcu. Na razie Entorianie po prostu bawili się, zapominając o wszystkich troskach.

Aldorent zatrzymał się w pobliżu gromady i stał tak, nie bardzo wiedząc, co powinien zrobić. Nie chciał zakłócać obrządków. Wreszcie ktoś z Entorian dostzegł go i pokazał sąsiadom. Ci z kolei wskazali go innym osobom, aż wreszcie wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Śpiew zamilkł, instrumenty ucichły, tańczący zatrzymali się, w końcu nawet dostojna kobieta podniosła się i patrzyła na niego pytająco. Teraz musiał już coś powiedzieć.

– Przepraszam, że przeszkodziłem... naprawdę wolałbym tego nie robić... wasze święto wygląda tak ładnie... to może powiem, co mnie tu sprowadza. Nazywam się Aldorent Morrison i pracuję dla Zbrojnych Sił Sangacji. Szukam pewnego chłopca, który wymknął się z naszego ośrodka wypoczynkowego wczoraj wieczorem i jeszcze nie wrócił. Może będą państwo w stanie mi pomóc?

Gromada milczała. Ta cisza przedłużała się i stawała się coraz bardziej krępująca. Wreszcie starsza kobieta odezwała się we Wspólnej Mowie:

– Jestem Kendra Amno, przewodzę tej wsi. A więc szuka pan chłopca, Sangacjanina? Czy byłby pan łaskaw powiedzieć nam o nim trochę więcej?

– Ma siedemnaście lat i nazywa się Andrew Thomas.

Następnie opisał krótko wygląd chłopaka i spytał powtórnie, czy ktoś z Entorian nie natknął się przypadkiem na Andrew.

Kendra Amno odparła po dłuższym milczeniu, z rozmysłem dobierając słowa i waząc starannie każde z nich:

– No cóż... pański chłopiec tu jest, a raczej... był. Byłam tak zajęta przygotowaniem do przesileniowych obchodów, że nie dopilnowałam mojej niesfornej wnuczki.

– Co się stało? – zapytał Aldorent.

– Niech Eman sama powie panu, co się stało – przywódczyni przywołała ruchem ręki wnuczkę. – Niech ma odwagę, by przyznać się do błędu.

Do Aldorenta zbliżyła się dziewczynka. Siedziała poprzednio na uboczu, nie bawiąc się jak reszta młodzieży, jakby trapiło ją coś, z czym nie umiała sobie poradzić. Cichym głosem zaczęła mówić:

– Wyszłam wczoraj wieczorem z obozu. Chciałam się przejść. Lubię samotne spacerować, a wieczór był taki piękny. Wie pan, tu, w górach, na niebie błyszczą więcej gwiazd niż na równinach. Nad strumieniem spotkałam Andrew. Podobał mi się, więc zaczęłam z nim rozmawiać. Był zabawny, miał problemy ze Wspólną Mową, ale dogadaliśmy się. Przeszliśmy się trochę wzdłuż strumienia. Brodziliśmy w chłodnym nurcie Myrr, trzymając się za ręce, a potem... pocałowałam go – jej policzki zarumieniły się gwałtownie, a głos zadrżał. – Pierwszy raz w życiu całowałam się z chłopakiem i podobało mi się to. Zaprosiłam go do obozu. Chciałam, żeby został na święcie, żeby zobaczył, jak się bawimy, żeby usłyszał *Pieśń triumfującej radości*. Wszyscy już spali, ale w kociołku zostało trochę gulaszu. Nie chciałam, żeby Andrew był głodny. Mówił mi, że nie jadł kolacji. Rozpaliłam więc ogień, podgrzałam gulasz i poczęstowałam go. Zjadł, a potem... – tu usta dziewczynki wykrzywiły się w grymasie płaczu – osunął się na ziemię i bardzo cierpiał. Trzymał się za brzuch i jęczał. Nie wiedziałam, co mam robić. Byłam tak przerażona, że obudziłam rodziców, ale oni też nie wiedzieli, co zrobić. Nawet babcia nic nie mogła poradzić.

Nie wiedzieliśmy, co mu jest. Przynajmniej nie cierpiał długo. Zanim wstało słońce, już nie żył. A my nadal nie wiemy, co robić...

Emana wybuchła wreszcie długo powstrzymywanym płaczem. Nikt do niej nie podchodził, nikt nie próbował jej pocieszać.

– Był taki uroczy, tak bardzo mi się podobał! – szlochała. – Chciałam być dla niego dobra, a on po prostu umarł! Tak z niczego po prostu umarł!

– Miałam zamiar odnieść zwłoki do tego waszego ośrodka, ale dopiero jutro, po święcie. Nie chciałam, by cokolwiek zakłóciło radość, chociaż już właściwie została zakłócona... – dodała Kendra Amno.

– Chciałbym zobaczyć zwłoki – powiedział Aldorent. – Możecie mi je pokazać?

Kendra zaprowadziła go w głąb obozu. Za nimi szła płacząca Emana i jeszcze kilkoro Entorian. Chłopca złożono w namiocie i przykryto brązową płachtą. Aldorent wyciągnął zwłoki na światło dnia i obejrzał je dokładnie. Twarz Andrew zastygła w grymasie bólu, całe ciało było lekko nabrzmięte, usta sine, a brzuch twardy, jakby połknął kamień. Aldorent nie miał najmniejszych wątpliwości, że chłopak został otruty. W gulaszu Entorian musiała znajdować się trucizna. Z pewnością dosypano do niego jedną z tych słynnych entoriańskich przypraw, komponowanych z ziół, których człowiek nie powinien dotykać w żadnym wypadku.

– Wiem, że Sangacjanie nie mogą jeść wszystkiego, co my – odezwała się Kendra Amno – ale Emana tego nie wiedziała. To przecież jeszcze dziecko. Dostała ostrą naganę i ukarzę ją jeszcze należycie, ale nie dzisiaj. Dziś jest dzień radości, więc nikt nie powinien dziś cierpieć.

No tak, jasne. Dziś jest dzień radości, więc umarli głosu nie mają. Umarłych chowa się w kącie, by nie przypominali, że oprócz radości jest na świecie cierpienie i ból. A rodzice Andrew Thomasa będą bardzo cierpieć, gdy dowiedzą się, co się stało z ich synem.

Aldorent wiedział doskonale, co musi teraz zrobić. Włożył hełm, bo od tej chwili był tu wyłącznie służbowo. Już nie był Aldorentem Morrisonem. Teraz miał być sędzią, ławą przysięgłych i katem w jednej osobie. Reprezentował całą sanga cką sprawiedliwość, a ta była bezwzględna. Człowiek stracił życie, zostało to udo-

wodnione ponad wszelką wåtpliwość, a stracił je z winy Entorianki, tej młodziutkiej Emany, która klęczała teraz obok zwłok chłopca i ocierała łzy. Jaką karę przewidywała sangacka sprawiedliwość dla Kiramczyka, który przyczynił się do śmierci człowieka? Wyrok mógł być tylko jeden: śmierć. I nigdy nie było żadnych okoliczności łagodzących. Wykonać natychmiast!

Wyciągnął prędko broń, odbezpieczył ją, cofnął się dwa kroki i wycelował w klęczącą dziewczynę.

– Przykro mi, Emano – powiedział. – Takie są zasady. Zabiłaś człowieka, musisz umrzeć.

Tak trudno było pociągnąć za spust. Robił to już wielokrotnie, więc co znaczył ten jeden raz więcej. A jednak wahał się.

– Nie może pan jej zabić – powiedziała przywódczyni gromady. – Ona jest niewinna. To nie było morderstwo, tylko wypadek. Na Wielkiego Ducha, to jeszcze dziecko! Niech pan nie psuje nam święta! Jaką radość wzbudzi w nas odśpiewanie pieśni, jeśli moja wnuczka będzie leżała martwa, z kulą w piersi?

– Wiem, że to był wypadek – odparł Aldorent – ale to żadna różnica. Gdyby nie ona, ten chłopiec wciąż żyłby, więc jest winna. Gdyby jej nie spotkał, wróciłby do domu cały i zdrowy. Mam wyraźne rozkazy w takich przypadkach, a ignorancja nie jest żadnym usprawiedliwieniem.

– To okropne, że chłopak nie żyje, ale ona ma piętnaście lat! – krzyknęła Kendra. – Całe życie przed nią! To nie jest zła dziewczyna! Popełniła błąd, więc dostała nauczkę i nie popełni go nigdy więcej!

– Nigdy więcej? – odparł z goryczą Aldorent. – Żadne „nigdy więcej” nie przywróci temu biedakowi życia, nie osuszy łez jego rodziców.

Emana zaczynała powoli pojmować, jaki los ją czeka. W jej oczach zagościł wyraźnie strach. W każdej chwili mogła zerwać się do ucieczki. Musiał strzelić, zanim dziewczynka zacznie uciekać, albo babka lub któreś z Entorian rzuci się na niego, by go powstrzymać. No dalej! Strzelaj!

Nagle spomiędzy dorosłych wysunęła się jeszcze jedna dziewczynka, znacznie młodsza od Emany, prawie dziecko. Zastłoniła winowajczynię własnym ciałem i patrząc oprawcy prosto w oczy, powiedziała głosem mocnym i stanowczym:

– Jestem Elaysią, dzieckiem słońca. To jest mój dzień, dziś mogę dokonać wszystkiego. Nie zabijesz mojej siostry, bo musiałbyś zabić także mnie, a nie strzelisz do mnie. Rozkazuję ci mocą Wielkiego Ducha i potężnego słońca: zostaw nas w spokoju i odejź!

Patrzyła na niego bez cienia lęku, zuchwale, zaczepnie, groźnie. W zielonych oczach gorzał płomień, wiara tak silna, że gdyby to dziecko powiedziało do góry: przesun się, góra przesunęłaby się bez chwili wahania. W dwóch zwierciadłach duszy odbijała się wielka jasność, niemal rozsadzająca dziewczynkę od wewnątrz.

Nie mógł, nie był w stanie strzelić. Ręka opadła sama, a broń wysunęła się z bezwładnej dłoni. Wielokrotnie zastanawiał się potem, co nim w tym momencie powodowało. Czy podjął własną, zaskakującą decyzję, czy też nie sposób było nie posłuchać rozkazu Elaysii.

Coś jednak musiał postanowić. Nie mógł zostawić tej sprawy niedokończonej. To, co właśnie zrobił, uważane było w ZSS za zdradę wszelkich ideałów, za sprzeniewierzenie najgorsze z możliwych. Stał po stronie Entorian przeciwko ludziom. Karą za ten czyn była śmierć, a Aldorentowi życie było wciąż miłe. Zwłoki muszą zniknąć bez śladu.

– Palicie zmarłych na stosie, tak? – zwrócił się do Kendry.

– Owszem, oddajemy ostatnią posługę naszym zmarłym pozwalając, by ogień strawił ich doczesną powłokę. Chronimy ich w ten sposób przed hańbą powolnego rozkładu.

– Bardzo mądrze. Ułóżcie więc pogrzebowy stos i spalicie zwłoki chłopca. Zadbacie, by spalił się doszczętnie. Niech spłonie całe drewno, którego użyjecie do zbudowania stosu, a kości... Co robicie z kośćmi, które się nie palą?

– Wracają do ziemi. Z tej ziemi powstajemy, na niej żyjemy i do niej powracamy.

– Świetnie. Więc zakopiecie kości, ale tak, żeby nie pozostał po miejscu ich ukrycia żaden ślad, rozumie pani? To bardzo ważne.

– Czy nie powinniśmy raczej zwrócić zwłok rodzinie?

– W żadnym wypadku. Róbcie, co mówię, a nikomu nie stanie się krzywda.

Podniósł upuszczony pistolet, odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za siebie. Pozostawił resztę w rękach Kendry Anno i nie czuł niepokoju. Wiedział, że Entorianie zrobią wszystko, by uniknąć dalszych kłopotów.

Resztę dnia spędził w górach, włócząc się bez celu i rozmyślając o wydarzeniu, którego był świadkiem. Wieczorem wrócił do ośrodka i zameldował ze smutkiem, że wytężone poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem. Wysłuchał przy tym kolejnej porcji żalu opiekunów. Naprawdę było mu szkoda tych przerażonych ludzi, ale nic nie mógł dla nich zrobić.

Zjadł wreszcie porządny posiłek i przespał się. Rankiem połączył się drogą radiową z marszałkiem, powiadomił przełożonego o klęsce poszukiwań i spytał o dalsze rozkazy. Marszałek postanowił zorganizować akcję na dużą skalę. Wysłał do Doliny Myrr najlepiej wyszkolonych funkcjonariuszy, psy śledcze i śmigłowce, by spenetrowały górzysty teren z powietrza. Aldorent również brał udział w tych pracach.

Oczywiście, mimo intensywnej kilkudniowej pracy oddziału nie znaleziono ani chłopca, ani niczego, co w jakikolwiek sposób odbiegałoby od normy. Nawet ZSS-owcy musieli się w końcu poddać. Wymieniono całą załogę ośrodka „Pod świerkami”, bezpośrednio odpowiedzialni za bezpieczeństwo Andrew Thomasa trafili za kratki, wzmocniono zabezpieczenia w hotelu i przydzielono do ochrony jeszcze więcej mężczyzn. Famis McLain wyszedł z tego bez szwanku, jedynie z kontem uszczuplonym o parę milionów dolarów. Podobno nawet nie przejął się tą stratą.

Ucierpiał za to Aldorent. Dostał naganę od marszałka za nieudolność, obcięto mu premię, nawet zawieszono w wykonywaniu czynności służbowych na cały miesiąc, ale potem sytuacja powoli wróciła do normy. Kilka sprawnie przeprowadzonych akcji pozwoliło mu odzyskać zaufanie przełożonego i kolegów oraz odbudować nadszarpniętą pozycję. Prawda o Andrew Thomasie nie wyszła na jaw.

Nigdy nie żałował, że podjął taką decyzję. Nie mógł zrobić niczego dla chłopca, dla jego rodziny ani dla pracowników placówki. Bez względu na to, czy chłopiec nie odnalazłby się wcale, czy odnalazł martwy, rezultat dochodzenia byłby taki sam. Jediną osobą, dla której mógł coś zrobić, była entoriańska dziewczynka.

Nic nie mogło wrócić życia chłopcu, ale mógł ocalić życie Emany. A czuł niejasno, że nie ma większej różnicy między tymi dwoma istnieniami. To nieistotne, że odlegli przodkowie Andrew urodzili się w Stanach Zjednoczonych Ameryki, wszyscy zaś przodkowie Emany przyszli na świat na planecie Kiram. To nieistotne, że wychowywali się w zupełnie różnych kulturach. Oboje mieli takie samo prawo do życia. Aldorent wiedział, że same takie myśli wystarczyłyby, by postawić go w stan oskarżenia, nie zwierzał się więc nikomu.

Sprawdził w sieci znaczenie słowa Elaysia. Pochodziło ono z języka malloverskiego i znaczyło apogeum, przesilenie. Tak z pewnością brzmiało imię dziewczynki, niezwykle w przypadku Entorianki. Musiała ona czuć się w jakiś sposób związana z tym wyjątkowym dla jej społeczności dniem. Na Zachodnim Wybrzeżu nadawano to imię niekiedy dziewczynkom, które urodziły się pierwszego Eleasias. Czy właśnie wtedy miała Entorianka obchodzić urodziny?

Podobieństwo brzmienia słów Elaysia i Eleasias uznał za nieprzypadkowe. Nazwa letniego miesiąca oznaczała Wysokie Słońce. Pochodziła z języka gondwańskiego, a nie malloverskiego, ale przecież wszystkie języki Kiramu, jako izolowanego kontynentu, musiały wywodzić się z jednego pnia.

Jak przystało na idealnego żołnierza i stuprocentowego mężczyznę, jeśli istniało niebezpieczeństwo, a on miał za zadanie ratować cywilów, najpierw zajmował się najsłabszymi i najbardziej bezbronnymi, czyli owymi osławionymi „kobietami i dziećmi”. Zawsze w takich chwilach przypominała mu się Elaysia, jej wzrok rozkazujący, odważny. Budziła się wtedy w nim lekka pogarda dla piszczących z przestachu, choć niewątpliwie pięknych Sangacjanek, którym pomagał.

Nie mógł się uwolnić od powracającego obrazu małej istotki płci żeńskiej, stawiającej czoła potężnemu, uzbrojonemu mężczyźnie. Czuł, że ten obraz wraca nie bez powodu. Niezwykłe, zielone oczy nakazywały mu coś zmienić w życiu. Może powinien przestać zabijać? Ha, to nie było takie proste. Tłumaczył sobie, że zabijanie jest tylko częścią jego pracy. Równie często ocala ludzkie istnienia, a ci, którzy zabija, są w większości niebezpiecznymi przestępcami.

Ale piętnastoletnia Emania nie była niebezpiecznym przestępcą, a przecież ona także znalazła się na liście jego ofiar. A właściwie została jego pierwszą i na razie

jedyną niedoszłą ofiarą. Byłoby mu łatwiej, gdyby – wzorem swoich kolegów z pracy – nie stawiał pytań, nie analizował rozkazów, tylko posłusznie je wykonywał. Byłoby mu łatwiej, gdyby pozostawił myślenie innym, stojącym wyżej od niego.

Na szczęście, a może na jego nieszczęście, Aldorent, mimo szczyrych wysiłków, nie potrafił przestać być człowiekiem.

Odwrócił się gwałtownie. Urosła trochę przez dwa lata i nabrała kobiecych kształtów, ale to była ona! Jeśli Elaysia go rozpozna i piśnie choć słówko na temat tamtych wydarzeń, jego życie zawisnie na włosku. Nie raz przyłapywał się na myśli, że chciałby ją znów spotkać, ale teraz dałby wszystko, by znikła raz na zawsze.

– Może powinniśmy ją wypuścić – odezwał się do Willa po angielsku. – Marszałek wolałby pewnie chłopca.

– Jaka to różnica? – zdziwił się jego towarzysz. – Przecież u nich kobiety prawie nie różnią się od mężczyzn. Zapewniam cię, że dziewczynka będzie równie dobra jak chłopiec. Nie ma żadnego powodu, by ją wypuszczać.

Dalsze drażnienie tej kwestii mogło być dla Aldorenta niebezpieczne. Zamilkł więc i utkwiał wzrok w przesuwającej się ścianie lasu. Odezwała się za to dziewczynka:

– Możecie rozkuć mi ręce. Jest mi niewygodnie, bardzo niewygodnie. Przecież nie ucieknę.

Aldorent nawet nie drgnął, ale Will go ponaglił:

– No, rozkuj jej ręce. Przecież nie wyskoczy z pędzącego samochodu.

Aldo sięgnął ku dziewczynce i uwolnił przeguby jej rąk. Nic nie wskazywało na to, by go rozpoznawała. Elaysia przez chwilę siedziała spokojnie, po czym rzuciła się ku Willowi i zakryła mu dłońmi oczy. Mężczyźnie udało się zachować panowanie nad kierownicą. Jeep nie uderzył w żadne z drzew, których wznosiło się po obu stronach drogi całe mnóstwo. Mieli dużo szczęścia. Aldorent w okamgnieniu oderwał dziecko od kolegi i rzucił na tylne siedzenie. Powtórnie skrępował jej ręce kajdankami i zakneblował usta. Czuł jedynie strach o samego siebie. Czysty, zwierzęcy strach przed śmiercią.

– Po co ją kneblujesz? – odezwał się Will. – Niechby sobie pogadała, jeżeli będzie miała ochotę. Gadka jeszcze nikomu nie zaszkodziła, zwłaszcza w wykonaniu dzikuski z Entorii.

– Wolę, żeby siedziała cicho.

A właśnie, że gadka w wykonaniu tej właśnie dzikuski mogłaby bardzo zaszkodzić jemu. Czuł się bardzo niezręcznie. Spojrzał przelotnie w lusterko i stwierdził, że po policzkach Elaysii spływają łzy. Pomimo to nie zdjął kajdanek z jej rąk ani nie wyjął knebla z ust.

Jeśli będę martwy, nie pomogę jej w niczym. Ta myśl bynajmniej nie rozgrzeszała go we własnym sumieniu.

Próbował rozmawiać z Willem na temat spraw, które ostatnio prowadzili, lecz rozmowa wciąż się rwała. W Polinii wjechali na autostradę i skręcili na zachód, ku Sangacji. Teraz auto prowadziło się równo i szybko. Posterunek graniczny minęli w błyskawicznym tempie. Obaj błysnęli odznakami ZSS, dzięki czemu nikt nie śmiał ich zatrzymać.

Jakieś pięćdziesiąt kilometrów przed Derbachią Will zjechał na stację benzynową. Zatankował, wsunął kartę kredytową ZSS do szczeliny w automacie płatniczym, a następnie zwrócił się do Aldorenta:

– Będę w ubikacji. Tyle godzin jazdy...

Aldorent skinął głową. Odwrócił się i spojrzał na dziewczynkę. Już nie płakała, siedziała teraz pochmurna i smutna.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Elaysio – odezwał się – ale nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Błysnęła złowrogo oczami. Było też w tym spojrzeniu bezgraniczne zdumienie.

– Zawrzyjmy układ. Zdejmę ci kajdanki i knebel, w zamian ty nie zdradzisz nikomu nawet słówkiem, że już się spotkaliśmy. Dobrze, Elaysio?

Po chwili zastanowienia skinęła głową na znak zgody. Ledwo zdjął jej knebel, odezwała się ponuro:

– Mam na imię Derra.

Zastygł z kajdankami w rękach, z twarzą wykrzywioną wyrazem ogromnego zdziwienia.

- Derra? Jak...? A Elaysia...? To nie...?
- Nie. Derra.
- A jak dalej? Może Amno?
- Skąd pan wie? – w jej głosie znów zabrzmiało zdziwienie.
- Kendra Amno to twoja babka, tak?
- Oczywiście, że tak.
- Matka twojej matki?
- Pewnie. Gdyby było inaczej, nie mogłabym się nazywać tak, jak ona.

Aldorent kątem oka uchwycił sylwetkę powracającego Williama.

- Pamiętaj, obiecałaś – zwrócił się jeszcze do Derry.

William wszedł do samochodu. Aldorent prędko przeskoczył na miejsce kierowcy.

- Zmienię cię teraz – powiedział. – Odprężysz się trochę, Will.

- Widzę, że jej też pozwoliłeś się odprężyć – starszy z Eliminatorów spojrzał na siedzącą swobodnie dziewczynkę.

- Nie jest groźna.

- Nie jest? Jak ci zasłoni oczy na autostradzie, to spowodujemy karambol jak cholera. Przełącz lepiej na automatyczne sterowanie.

- Nie zasłoni mi oczu.

- Taki jesteś pewien? A na jakiej niby podstawie?

- Derra nie zasłoni mi oczu.

- Ooo! Powiedziała ci swoje imię?

- Pewnie, że tak. Nazywa się Derra Amno.

- Szybko się dogadaliście – stwierdził z przekąsem Will. – Masz podejście do kobiet, przyjacielu.

Aldorent nie odpowiedział. Zaczął się zastanawiać, kiedy Will czy inni ZSS-owcy zainteresowaliby się imieniem dziewczynki. Dla jego kolegów była zwierzątkiem, przedstawicielką gatunku wprawdzie interesującego, ale nie dorównującego ludziom inteligencją. Ulubionym zwierzątkom nadaje się imiona, nikt jednak nie traktuje tych imion całkiem serio. A już na pewno nie nadaje się im nazwisk. Mu-

sieliby w końcu jakoś zacząć wołać na tę dziewczynkę, to pewne... Tyle że ona była Derrą Amno. Już była kimś.

– Wypuście mnie – odezwała się dziewczynka głosem cichutkim i żalnym. – Przecież nic złego wam nie zrobiłam, więc dlaczego mnie uwięziliście?

Co tak naprawdę zadecydowało? Ślepy los, przypadek, fakt, że Derra znalazła się w odpowiednim miejscu i czasie, a raczej nieodpowiednim? Jak wytłumaczyć dziecku, że pewne wydarzenia nie mają przyczyn? Że równie dobrze mógłby zostać porwany każdy chłopiec lub dziewczynka w jej wieku?

– Nie bój się, Derro – bąknął nieśmiało Aldorent. – Nie stanie ci się żadna krzywda.

– To wypuście mnie! Po co jestem wam potrzebna? Kiedy pozwolicie mi wrócić do domu?

– Zostałaś wybrana spośród milionów, droga panienko – powiedział Will. – Urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą. Dane ci będzie przeskoczyć w parę lat stulecia rozwoju cywilizacyjnego. Z dzikuski staniesz się cywilizowaną kobietą.

– Ja jestem cywilizowana! Znam Wspólną Mowę, umiem wymieniwać wszystkie kraje Kiramu wraz ze stolicami. Nie trzeba mnie cywilizować. Kiedy mnie wypuścicie?

Mężczyźni milczeli. Odpowiedź na uporczywie powtarzane pytanie Derry brzmiała „nigdy”, a obaj obawiali się jej gwałtownej reakcji na ruchliwej autostradzie. Nie chcieli teraz szarpać się z Entorianką.

– Rodzina będzie mnie szukać. Nie spoczną, póki mnie nie znajdą – mówiła dziewczynka nabrzmiałym łzami głosem. – Moja babka nie daruje wam tego. Znajduję się pod jej opieką, podobnie jak wszyscy w gromadzie. Podnosząc na mnie rękę, uderzyliście w nią, a ona nie pozwoli się obrażać. Będzie was ścigać tak długo, aż was dostanie. Wówczas każe was przywiązać do drzew i szyć strzałami, aż wyzioniecie ducha. Tak się karze w Entorii porywaczy.

– Przepióreczka zaczyna grozić! – parsknął śmiechem Will. – Koteczku, ani trochę nie boimy się twojej babci!

– To zaczniecie się bać! – oświadczyła Derra z mocą. – Ona nie wybacza takim jak wy!

Aldorent nie potrafił oprzeć się myśli, że Derra jednak się myli. Kendra Amno wydała mu się kobietą mądrą i rozważną, przedkładającą negocjacje nad użycie siły. Choć taka postawa mogła sprawiać wrażenie tchórzostwa, nie porywała się z motyką na słońce. Musiała doskonale wiedzieć, że ich prymitywne łuki nie działają wiele przeciw zaawansowanej technologii Sangacjan. Zaś w połączeniu z nienawiścią i pogardą, jakie żywiła wobec rdzennych Kiramczyków większość ludności Sangacji, każde gwałtowne posunięcie mogło skończyć się źle w większym stopniu dla Kiramczyków. Agresja wywołuje agresję, jej łańcuch narasta i trudno go potem przerwać.

Kendra nie zaryzykowała życia swojego ani swoich ziomków, by ocalić Emanę. Wątpił, czy zrobi więcej dla Derry. Gdzie przebiega granica między tchórzostwem a rozsądkiem? Gdzie kończy się sprawiedliwość, a zaczyna prymitywna zemsta? Czy ktokolwiek z ludzi czy Kiramczyków umie bezbłędnie nakreślić te granice?

Derra była chyba inna niż babka, do przesady wyczulona na punkcie sprawiedliwości, bardziej bezwzględna. Może jej charakter złagodnieje z wiekiem. Może dziewczynka nauczy się, że w życiu nie wszystko jest czarne lub białe. Czasami trzeba odstąpić od wartości i ideałów, które wyznawało się od maleńkości. Trzeba nauczyć się przebaczać... Nie, ZSS nie przebacza nigdy, jakie ma więc prawo wymagać od innego człowieka czegoś, czego nie wymaga od siebie?

Ostra jasność południa stała się łagodną złocistością wieczoru, gdy dotarli do przedmieść Derbachii. To właśnie na obrzeżach miasta wznosiły się osiedla mieszkaniowe. W centrum pracowało się, robiło zakupy i brało udział w najgłośniejszych wydarzeniach kulturalnych Sangacji. Kwatera Główna Zbrojnych Sił Sangacji mieściła się w południowej części miasta, na peryferiach Derbachii. Dalej na południe rozciągały się już tylko uprawy ziemniaków.

Przejazd przez miasto zajął Aldorentowi prawie dwie godziny, mimo iż korzystał z obwodnicy. Nie miał tego dnia szczęścia do świateł, czerwone zapalały się jak na złość tuż przed nimi. Nie zaryzykowałby twierdzenia, że ruch był wyjątkowo duży. Ruch był taki jak zwykle, nieustający, niestrudzony. Prawie każda rodzina w Derbachii miała przynajmniej jeden samochód. Niemal każdy dorosły obywatel legitymował się prawem jazdy. Istniał wprawdzie transport publiczny, został on

jednak we wszystkich miastach przeniesiony pod ziemię. Drogi naziemne pozostawiono samochodom.

To miasto nie zasypiało nigdy. Pracowało się tu przez całą dobę, na kilka zmian. Równie dobrze można było wstawać do pracy o szóstej rano, jak i o dziewiątej wieczorem. Sangacjanie dawno już nie przestrzegali tradycyjnego podziału czasu na dzień i noc. Przestronne wnętrza z przyciemnionymi szybami lub całkowicie pozbawione okien oraz wszechobecne oświetlenie elektryczne sprawiały, że równie łatwo było zamienić dzień w noc, jak i noc w dzień. Biorąc dodatkowo pod uwagę fakt, że na tych szerokościach geograficznych słońce przez dwa miesiące praktycznie nie zachodziło, a przez dwa inne praktycznie się nie pokazywało, łatwo było zrozumieć, że ludzie spali, pracowali i bawili się w najdogodniejszych godzinach, ignorując rytm wyznaczany przez gwiazdę.

Wszystkie parki miejskie ulokowano w pobliżu dzielnic mieszkalnych, a centrum było zupełnie pozbawione zieleni. Tutaj królowały stal, beton, asfalt, szkło i tworzywa sztuczne. Mimo to Derbachijczycy lubili chyba swoją hałaśliwą, rozbłyskującą tysiącami świateł stolicę. Derra przyglądała się temu wszystkiemu przez szybę z rosnącym lękiem malującym się na twarzyczce. Postanowiła, że nie będzie płakać, ale ucisk w gardle nie ustępował.

Jeden z jej największych, tajonych lęków właśnie stawał się rzeczywistością. Wielkie miasto! Nie, największe miasto na kontynencie, szczyt możliwości urbanizacji, miejsce, w którym nie pozostało nic naturalnego. Przyroda została pokonana i zmuszona do odwrotu, wszystko wokół stworzone było ludzką ręką. Nawet gołębie nie spacerowały po skwerach, nawet owady gdzieś przepadły, nawet słońce nie docierało do głębin ukrytych między potężnymi budowlami. Gdyby ci dwaj mężczyźni puścili ją teraz wolno, nie wiedziałyby, co począć. Była tutaj sama, zagubiona, przerażona i dwunastoletnia. Jej rodzina, wszyscy, których znała i kochała, zostali w Entorii. Cały jej znany, kochany i bezpieczny świat, w którym się obracała, został gdzieś daleko na wschodzie. A ona nie umiała nawet dobrze czytać map.

Aldorent wprowadził ją do jednopiętrowego, szarego budynku, w którym mieściły się biura ZSS. Lekko pchnął dziewczynkę w kierunku zamkniętych drzwi na samym końcu korytarza. William szedł tuż za nimi. Derra zaczęła się zastana-

wiać, czy nie powinna spróbować ucieczki. Doszła jednak do wniosku, że w tym miejscu nie ma żadnych szans. Musi poczekać na bardziej sprzyjającą okazję.

Aldo zapukał. Drzwi rozsunęły się na dwie strony bez udziału człowieka. Oczom obu mężczyzn i Derry ukazało się przestronne wnętrze biura. Okno nastawiono na maksymalną przepuszczalność światła, w pomieszczeniu panowała więc jasność dnia. Głównym meblem było biurko, wielkie i solidne, z tworzywa imitującego ciemne drewno. Oprócz tego w pokoju znajdowała się wykładzina, kilka krzeseł pod ścianami, poroże jelenie na południowej ścianie, białe niedźwiedzie futro na ścianie północnej oraz szafka na dokumenty. Gabinet umeblowany był skromnie, a nawet surowo. Ten wystrój wnętrza sam w sobie dużo mógł powiedzieć o człowieku, który tutaj urzędował.

Zza biurka podniósł się starzec. Był łysy jak kolano. Skórę na twarzy miał pomarszczoną, ale jego ciało wciąż zachowywało siłę, krzepkość i zdrowie. Ubrany był w czarny mundur ZSS, zapięty pod samą szyję, z dystynkcjami wskazującymi na najwyższy w Sangacji stopień wojskowy. Był niegdyś Eliminatorem, lecz dawno już przestał wykonywać pracę Aldorenta i Williama. Nie włączył się po kontynencie, by wymierzać sprawiedliwość tym, którzy zdołali jej umknąć. Teraz zza biurka wydawał rozkazy młodszym, sam nie wystawiając się na niebezpieczeństwo.

– Czekałem na was – przemówił we Wspólnej Mowie głosem niskim i tak głębokim, jakby wydobywał się z czeluści piekielnej.

Para głęboko osadzonych, błyszczących, ciemnych oczu wpatrywała się w całą trójkę spod krzaczastych brwi w sposób przenikliwy, niepokojący, jakby starzec chciał przewiercić tym wzrokiem na wylot stojących przed nim ludzi. Aldorent zawsze czuł się trochę nieswojo, gdy musiał stanąć twarzą w twarz z przełożonym i wytrzymać ten wzrok, który zdawał się wydobywać na światło dzienne wszystkie jego najbardziej osobiste, najpilniej strzeżone sekrety. Wielu funkcjonariuszy, zwłaszcza młodszych, nie wytrzymywało tego spojrzenia. Miękli, zaczęli się jąkać, przestępowali z nogi na nogę, plątali się w zeznaniach, spowiadali z błędów całego życia. Tacy ludzie zwykle byli natychmiast usuwani z ZSS, bo nie było tu miejsca dla mięczaków.

Jednak Aldorent wiedział, że nawet ten starzec jest tylko człowiekiem. Nie ma boskiej mocy, choć udaje ją z niezłym rezultatem. Ma ogromną władzę, ale wciąż jest tylko człowiekiem.

– Melduję, że wykonaliśmy zadanie, panie marszałku – odezwał się William przyjmując postawę zasadniczą. Aldo poszedł w jego ślady.

– Spocznij, panowie! – rzucił niby niedbale marszałek. – Dobrze wykonaliście robotę, bardzo dobrze!

Czarne oczy wpatrywały się uporczywie w małą, miedzianowłosą istotkę. Dziecko odważnie wytrzymało ten wzrok. Aldorent przysięgłby, że zielone oczy Derry zaczynają płonąć tym samym wewnętrznym ogniem, jakim zapłonęły przed dwoma laty u stóp Strandveinen. Starzec spotkał wreszcie godną przeciwniczkę.

Ale i Derra nie trafiła na słabego. Marszałek nie był kimś, kogo mogłaby nagiąć do swojej woli równie łatwo jak Aldorenta. Zacisnęła pięści. Z jej postawy emanował gniew, bezbrzeżne, szlachetne oburzenie na ludzi, którzy przemocą fizyczną zmuszali innych do posłuszeństwa. A także wściekłość, że ona sama jest od przeciwników znacznie słabsza i nie może ich pokonać.

Nie zdołała zdusić w sobie całego lęku. Broda drżała jej coraz gwałtowniej. Była na terytorium wroga. Entoria pozostała daleko, a Derra nie mogła czerpać siły z jej ziemi.

– Doskonały okaz – odezwał się wreszcie przełożony. – Jest idealna. Naprawdę dobra robota.

– Jestem Derra Amno ze wsi Sokół w Entorii Zachodniej – odparła z największą godnością, na jaką było ją stać. Pomimo to jej głos drżał lekko. – Pochodzę z rodu Amno, który przewodzi gromadzie od czterech pokoleń i nigdy nie zostawia członków swojej rodziny w potrzebie.

– Jej babka wyrwie nam serca żywcem – dodał drwiącym tonem Will.

Jedno spojrzenie marszałka wystarczyło, by umilkł. Starzec ponownie skupił całą uwagę na dziecku.

– Jest doskonała. Niełatwo będzie złamać od razu jej opór, ale to bardzo, bardzo dobrze!

Podszedł do Derry i położył dłoń na jej ramieniu.

– A ja jestem Stanley Raszkiwicz, marszałek Zbrojnych Sił Sangacji. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy, bo spędzimy razem dużo czasu.

Dziewczynka cofnęła się o dwa kroki, uwalniając się z uścisku jego ręki.

– Nie zaprzyjaźniam się z przestępcami. Chcę wrócić do domu. Dlaczego mnie uprowadzono?

Wiedziała, że teraz nie wolno jej się rozplakać. To ten stary człowiek był jej wrogiem. Był uosobieniem wszystkiego, czego nienawidziła. To on pociągał za wszystkie sznurki. Nie mogła się rozkleić już przy pierwszym spotkaniu.

– Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie. Ile masz lat?

– Pierwszego Eleasias skończę dwanaście.

– Świetnie! O kogoś takiego właśnie mi chodziło. Panowie – zwrócił się do młodych funkcjonariuszy po angielsku – operację „Dzikus” będę nadzorował osobiście. Obydwaj zasłużyliście na premię.

– Dziękuję, panie marszałku – odezwał się bezbarwnym głosem Aldorent. – Nie uważam jednak, że dokonaliśmy czegoś nadzwyczajnego. To nie było trudne zadanie.

– Nie mieliśmy żadnych problemów z porwaniem dziecka – dodał William. – Zaskoczyliśmy ją nad rzeką bezbronną i samą, jeśli nie liczyć małego chłopca i nastolatki. Dziewczyna była krewka, rzuciła się na nas z kawałkiem drewna w ręce. Rzuciłaby się i z gołymi pięściami w obronie tej małej. Musiałem ją ogłuszyć, tak żeby nie zrobić jej większej krzywdy. Zawsze dziwnie się czuję, kiedy zabijam kobietę, nawet taką, która walczy jak mężczyzna. Nie lubię tego robić.

To nie było tak, pomyślał ze złością Aldorent. Zabiłbyś dziewczynę, draniu, gdybym ci na to pozwolił. Łżesz jak pies, Williamie Blacku. Każde kłamstwo przejdzie ci przez gardło, byleby tylko podlizać się obmierzłemu staruchowi.

Lecz nie wypadało mu przytaczać własnej, prawdziwszej wersji wydarzeń. Zarzucenie kłamstwa koledze traktowane było w ZSS bardzo poważnie. Jeśli brakowało mu niezbitych dowodów, że Will łże, postąpi mądrzej, milcząc. Cóż go to zresztą obchodzi? Najważniejsze było, że ocalił życie Emany – jeśli to była ona – po raz drugi. Zawstydził się, uprzytomniwszy sobie nagle, że jedyną osobą, której zdanie rzeczywiście się dla niego liczy, jest Derra Amno.

– Co z nią zrobimy? – odezwał się głośno.

– Tu nie może zostać – powiedział marszałek. – Znajdziemy jej nowy dom, a do tego czasu jeden z was musi się nią zająć. Czuję, że praca z nią będzie najbardziej fascynującym doświadczeniem mojego życia. Łamanie oporu Entorianki, jakże dumnej małej Entorianki!

– Mogę się nią zająć – odezwał się Aldorent.

Poczuł ulgę, kiedy zrozumiał, że tego właśnie pragnął. O tym marzył od chwili, w której odkrył, że porwana dziewczynka jest jego „Elaysią”. Używał w tej rozmowie niezmiennie języka gondwańskiego, gdyż wiedział doskonale, że posługiwanie się językiem narodowym w obecności cudzoziemca jest w Kiramie dużym nietaktem. Rozmowę należało prowadzić tak, by wszyscy znajdujący się w pomieszczeniu wiedzieli, o co w niej chodzi. Aldorent przestrzegał dobrych obyczajów Kiramu nawet wtedy, gdy inni Sangacjanie je lekceważyli.

– Mówiłeś, że chciałbyś się ożenić, Aldo – odparł marszałek tonem, który dawał się odczytać zarówno jako kpina, jak i dobroduszny żart – więc weź ją sobie! Jest twoja, synu. Ale będziesz musiał mi ją wkrótce zwrócić.

Aldorent podszedł do Derry i ujął jej niedużą piąstkę w swoją wielką, silną dłoń. Delikatnie rozginał mocno zaciśnięte palce dziewczynki, niemal powbijane w ciało. Wreszcie poczuł, że jej napięcie ustępuje. Derra oddała mu uścisk, choć obejmowała dziecięcą ręką jedynie palce Aldorenta.

Tak wyprowadził ją z biura, a następnie z budynku, by zawieźć dziewczynkę do swojego mieszkania.

ROZDZIAŁ IV

RODZINA CARRADINE

– Rozumie pan chyba, że popełnił pan przestępstwo – kontynuował dyrektor. – Sfałszował pan чеки, wziął pieniądze firmy i wydał na cele prywatne. To jest pospolita kradzież, panie Carradine.

Robert Blood, dyrektor działu sprzedaży firmy „Uniwersalne roboty”, zajmującej się produkcją i sprzedażą maszyn myślących, w tym androidów towarzyskich, oparł ręce o blat masywnego biurka z przezroczystego tworzywa. Pochylił się w stronę pracownika, którego właśnie zamierzał ukarać. Nie krzyczał, nie unosił się w gniewie, a każde słowo wypowiadał z rozmysłem. Pomimo to nie zamierzał patrzeć przez palce na tak poważne przewinienie jak kradzież. Suma, którą przywłaszczył sobie Timothy Carradine, była niewielka, lecz kradzież pozostawała kradzieżą, a firma nie tolerowała nielojalnych pracowników.

Timothy Carradine doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Przyjął pokorną postawę i stał po drugiej stronie biurka. Nie poproszono go, by usiadł.

– Jestem zmuszony pana zwolnić – odezwał się znów Blood. – Ale to nie wszystko. Procedura postępowania w takich przypadkach jest jasna. Muszę zawiadomić policję. Wie pan, co zwykle dzieje się dalej.

Pewnie, że Timothy wiedział. On trafi do więzienia, a jego rodzina straci jedyne go żywiciela.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, panie dyrektorze – odezwał się cicho.

– Nawet nie wie pan, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego incydentu. Był pan świetnym pracownikiem i dobrym kolegą. Niech mi pan powie, tak między nami, panie Carradine, dlaczego pan to zrobił?

Serdeczny ton głosu przełożonego zachęcał do zwierzeń. Bywali nawet niekiedy kimś w rodzaju przyjaciół, a tych Timothy Carradine nie miał wielu.

– Nie wziąłem tych pieniędzy dla siebie, panie dyrektorze. Od kilku miesięcy płacił mi pan mniej, a moja rodzina przywykła już do życia na pewnym poziomie. Dzieci chodzą na prywatne lekcje, na pływalnię, ostatnio zapisałem syna na jazdę konną. Wie pan, że te wszystkie zajęcia dużo kosztują. Chcę, żeby moje dzieci miały wszystko, czego zapragną, żeby nie czuły się gorsze od rówieśników. Moja żona lubi się dobrze ubierać, wychodzić wieczorem do teatru, do filharmonii, do dobrych restauracji. Kiedyś prawie co wieczór wychodziliśmy. Nie chciałem, żeby dowiedziała się o moich kłopotach finansowych. Nie chciałem, żeby moi najbliżsi odczuli spadek standardu życia. Wziąłem więc te parę tysięcy dolarów, by jakoś załatać dziurę w budżecie domowym do czasu, gdy znów zacząłbym lepiej zarabiać.

– Doprawdy wzrusza mnie pańska troska o rodzinę – odezwał się dyrektor łagodnie. – Proszę zrozumieć, panie Carradine, że nie mogłem panu więcej płacić. Nasza sprzedaż gwałtownie spadła, odkąd Korporacja McLaina wypuściła na rynek androidy łudzaco podobne do naszych. Jesteśmy tylko jedną z małych firm wyrastających z niczego jak grzyby po deszczu. Taki kolos jak McLain Corporation zniszczy nas w mgnieniu oka. Musiałem obniżyć pobory pracowników, żebyśmy w ogóle utrzymali się na rynku.

– Rozumiem, panie dyrektorze.

– Inne małe firmy produkujące roboty też mają problemy. Wszędzie jest tak samo: w Kolorado, Detroit, Arizonie, Minnesocie, Denver... Pan natomiast swoim niecnym postępkiem jeszcze uszczuplił nasze zasoby. Podcina pan gałąź, na której wszyscy siedzimy. To jest niewybaczalne.

– Rozumiem.

Głos dyrektora złagodniał jeszcze bardziej, zupełnie jakby Blood przeproszał Timothy'ego za swoje słowa.

– Nic więcej nie mogę dla pana zrobić. Tu jest pańskie wypowiedzenie, a wkrótce dostanie pan wezwanie do sądu. Jutro zaś proszę nie przychodzić już do firmy.

Dyrektor odwrócił wzrok od twarzy Timothy'ego Carradine'a. Wydawał się być całkowicie pochłonięty śledzeniem kolumn cyfr na monitorze, co oznaczało koniec rozmowy. Timothy'emu nie pozostało nic innego, jak tylko opuścić gabinet szefa, a potem budynek firmy.

Przy stole zapanował ponury nastrój. Timothy nie mógł dłużej ukrywać przed żoną i dziećmi fatalnej sytuacji, wyznał im więc wszystko. Michael i Katia milczeli w zakłopotaniu, natomiast Amber nie potrafiła powstrzymać płaczu.

– Co teraz z nami będzie? – spytała cicho.

– Nie wiem, kochanie – odparł równie cicho Timothy. – Naprawdę nie wiem.

Amber była piękną, ciemnowłosą, młodą, bo zaledwie trzydziestopięcioletnią kobietą. Miała łagodne, wiecznie śmiejące się oczy, z których teraz spływały cienkimi strumyczkami łzy. Wciąż mogła się pochwalić figurą młodej dziewczyny i pewnie dlatego mąż tak bardzo ją uwielbiał. Zawsze starała się być dla niego piękna, bo był najważniejszą osobą w jej życiu, nie licząc dzieci. Dom i rodzina stanowiły cały jej świat.

Byłaby pewnie rozważna i oszczędna, gdyby nie fakt, że Timothy wcale na to nie należał. Chciał, żeby mogła pozwolić sobie na wszystko, o czym zamarzy. Nie wtajemniczał jej nigdy w swoje finanse, te sprawy tylko ją nudziły. Treścią jej życia miała być przyjemność, więc Timothy starał się uszczęśliwiać ją na wszelkie możliwe sposoby. W zamian Amber dbała o niego i dzieci najlepiej, jak umiała.

– Chyba nie pójdziesz do więzienia? Przecież nie zrobiłeś niczego złego. Wziąłeś tylko trochę pieniędzy, żeby żyło nam się lepiej. Firma na pewno ci wybaczy, bo zrobiłeś to dla rodziny.

– Nie wybaczą mi, słoneczko. Obawiam się, że żadna siła nie uratuje mnie przed więzieniem.

– Przecież sędziowie muszą mieć serce!

– W sądzie nie liczy się serce, tylko prawo. Nie znasz wcale świata, Amber. Życie jest twarde, a żebrząc o litość, niczego nie osiągniemy. Lepiej ze spokojem przyjmować swój los.

– Ale nie pójdziesz do więzienia na długo, prawda?

– Nie, nie na długo. Najwyżej na dwa lata. Tyle że Bóg jeden wie, co będzie dalej, bo nawet gdyby podarowano mi odsiadkę, z taką kartoteką nie znalazłbym już w Derbachii przyzwoitej pracy. Jako były więzień będę chyba mógł tylko czyścić kanały.

– Och, czemu wzięłaś te cholerne pieniądze! – Amber wybuchła nową porcją łez i ukryła twarz w dłoniach. – To nic, że przez jakiś czas byłoby nam trudniej, ale razem jakoś przetrwalibyśmy. Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

– Masz rację, kotku – pogłaskał delikatnie jej małą, ciemną dłoń. – Powiniennem być załatwić to inaczej, a teraz jesteśmy zgubieni.

Timothy Carradine miał czterdzieści dwa lata. Wciąż był przystojnym mężczyzną o ciemnej urodzie. W młodości dużo ćwiczył na siłowni, pływał i uprawiał sporty walki, dlatego teraz cieszył się świetnie wyrzeźbioną atletyczną sylwetką, która wzbudzała nieodmienny podziw jego żony.

– Przecież mama może iść do pracy – wtrącił Michael. – Wiele kobiet pracuje.

Ojciec zwrócił się w jego stronę z wyrazem złości na twarzy.

– Niezamężne albo stare – syknął. – Jak wasza mama mogłaby zostawić dom i was i pójść do pracy? Jej miejsce jest tutaj.

– On ma rację, Tim – odezwała się Amber. – Będę musiała pójść do pracy. Znajdę coś na pewno, ja się szybko uczę. A może moi rodzice wspomogą nas finansowo i nie będę musiała pracować?

– Nie będziesz musiała – zapewnił gwałtownie Timothy. – Obiecuję ci, że nie będziesz musiała. Jakoś z tego wybrniemy.

– Dzieci nie są wcale takie małe, a ja szybko się uczę.

– Teraz właśnie najbardziej potrzebują matki, bo czyha na nie najwięcej niebezpieczeństw. Wielu nastolatków i wiele młodych dziewcząt schodzi na złą drogę, jeśli pozbawione zostaną odpowiedniej i czulej matczynej opieki. Nie pozwolę, żebyś zaniedbała Michaela i Katię.

– Nie będziesz mógł nam pomóc, Tim – odezwała się kobieta o wiele trzeźwiejszym tonem, dochodząc do siebie. – Lada dzień zostaniesz aresztowany. Mogę pracować. Jakoś przetrwamy ten czas, a potem wszystko z powrotem się ułoży. Jeśli nie będziesz mógł znaleźć pracy tutaj, wyjedziemy, wyprowadzimy się, choćby do Polinii.

Tej nocy Timothy Carradine długo nie mógł zasnąć. Jego przewinienie było na szczęście łagodne. Za zwykłe oszustwo finansowe na pewno nie trafi do więzienia o zaostrzonym rygorze, w których ludzi traktuje się jak zwierzęta. W takich miej-

scach odsiadali wyroki tylko mordercy, gwałciciele i sprawcy brutalnych pobić. Warunki jego odsiadki na pewno nie będą urągać ludzkiej godności.

Niemniej jednak będzie tam zamknięty i odizolowany od rodziny. Amber i dzieci pozostaną sami, zdani na łaskę losu. Michael miał dopiero piętnaście lat. Był jeszcze chłopcem, nie mężczyzną. Nie będzie w stanie opiekować się matką i siostrą równie skutecznie jak Timothy. Był za młody na przejęcie tak wielkiej odpowiedzialności. Nie powinno go na razie obchodzić nic poza nauką i sportem. Katia miała lat trzynaście i wkrótce stanie się dziewczyną równie piękną jak jej matka. Będzie potrzebowała ojca, który skutecznie chroniłby naiwną i niedoświadczoną ślicznotkę przed rozmaitej maści draniami. A sama Amber... Niewiele różniła się od dziecka. Była piękną istotą stworzoną po to, by mężczyźni ją wielbili i na wyścigi starali się uprzyjemnić jej życie. A teraz cała odpowiedzialność za rodzinę spadnie na nią. Miała tylko ogólne wykształcenie, bez żadnego zawodu. Jaką pracę znajdzie i jak bardzo będzie musiała zaniedbać dzieci?

Timothy był człowiekiem głęboko wierzącym, Amber również była katoliczką. Ich wiara nie była powierzchowna, głęboko brali sobie do serca katolicką naukę i przez całe życie starali się żyć zgodnie z tymi zasadami. Oboje uważali, że to mężczyzna powinien utrzymać rodzinę, a zadaniem kobiety jest troszczenie się o dom i dzieci. Amber nigdy nie pracowała, poświęciła się całkowicie Mike'owi i Katii. Była idealną, wymarzoną żoną. Nie zawiodła go nigdy, zawsze była wobec niego lojalna i dlatego Timothy nie mógł znieść myśli, że to on zawiódł ją i dzieci.

Dlaczego Bóg mógł go opuścić? Przecież Timothy nigdy nie sprzeciwiał się Jego woli. Ach tak, sprzeciwiał się ten jeden raz. Złamał siódme przykazanie, słusznie zostanie więc ukarany, ale czemu oprócz niego mają cierpieć te niewinne istoty? Nie dość, że Amber będzie musiała wziąć na siebie odpowiedzialność, do której nie została stworzona, to będzie narażona na zaczepki obcych mężczyzn. Wciąż była bardzo piękna, a on nie będzie mógł jej chronić. Nic więc dziwnego, że dusza Timothy'ego wiła się w nieutulonym żalu, a sen nie nadchodził.

Nazajutrz, 7 czerwca 576 roku, Amber wyprawiła dzieci do szkoły i teraz jedli oboje śniadanie bez pośpiechu, w ponurych nastrojach. Nagle rozdzwonił się do-

mowy telefon. To był dyrektor Blood. Timothy miał się natychmiast stawić w firmie. Zjadł więc szybko, ogolił się, przemył zimną wodą zapuchnięte od braku snu oczy, przebrał się w ciemny garnitur i pojechał do biura. Spodziewał się najgorszego. Sądził, że zostanie aresztowany natychmiast, pożegnał się więc czule z zapłakaną żoną.

– Wzywał mnie pan, panie dyrektorze – odezwał się, wchodząc do gabinetu Blooda i spoglądając na niego z lękiem.

– Witam, drogi panie Carradine! – dyrektor poderwał się sprężyste z fotela, okrążył biurko i mocno potrząsnął dłonią zdumionego Timothy’ego.

– Mam dla pana dobrą wiadomość – mówił dalej. – Może pan już zapomnieć o swoich kłopotach!

– Jaką wiadomość?

– Ma pan gościa, proszę tylko spojrzeć. On panu wszystko wyjaśni.

Z jednego z foteli pod ścianą podniósł się mężczyzna w czarnym mundurze. Timothy spojrział na tego człowieka i jego strach zaczął gwałtownie rosnąć. Wiedział, że spotkanie z tym starcem dopiero zwiastowało kłopoty, nie zaś je oddalało. To był człowiek, który sprawował faktyczną władzę w Sangacji, człowiek, z którym musiał liczyć się nawet prezydent. Pod zwykłymi zjadaczami chleba nogi ugiwały się zwykle na sam dźwięk jego nazwiska. Serce Timothy’ego biło jak szalone na widok tej łysej czaszki, pomarszczonej twarzy i wpatrujących się w niego uporczywie czarnych oczu.

– Jestem Stanley Raszkiewicz, marszałek ZSS – przemówił z namaszczeniem starzec. – Pan nazywa się Timothy Carradine, nie musi się pan przedstawiać.

Wyciągnął rękę w kierunku Timothy’ego, którą tamten uścisnął po chwili wahania.

– Chciałbym panu zaproponować pewien układ. Wiem, że znalazł się pan w poważnych tarapatach, może pan jednak wybrnąć z nich w bardzo prosty sposób i jeszcze dużo na tym zyskać.

– Co pan proponuje, *sir*? – spytał Timothy, gdy udało mu się przezwyciężyć suchość w gardle.

– Przejrzałem dokładnie pana akta. Był pan oddanym pracownikiem firmy „Uniwersalne roboty”, dopóki nie popełnił pan głupstwa. Zarząd firmy mógłby puścić pańskie przewinienie w niepamięć i pozwolić panu nadal pracować na tych samych warunkach, o ile przysięgnie pan bezwzględną uczciwość. Zgadza się pan na to?

– Oczywiście – odparł natychmiast Carradine. Poczł, jak nadzieja znów wstępuje w jego serce. Ale to nie mogło być wszystko. Za tym aktem łaski musiało kryć się coś więcej. Marszałek Raszkiewicz nie zjawiałby się tutaj, by uniewinnić pospolitego złodzieja. Przeciwnie, był on ostatnim człowiekiem, który darowałby Timothy’emu winę.

– Ale to nie wszystko – marszałek potwierdził przypuszczenia Timothy’ego. – Dodatkowo ZSS będzie panu płacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie. Pana rodzina będzie wiodła królewskie życie, więc nie będzie pan musiał kraść. Oczywiście nie dostanie pan tych pieniędzy za darmo. Chcę, żeby wykonał pan dla nas wraz z żoną pewną pracę.

– Jaką pracę? – mięśnie na karku Timothy’ego znów się napięły na myśl, że Amber również zostanie wciągnięta w tę aferę.

– Tylko taką, którą wykonują państwo wspólnie od piętnastu lat – sylwetka marszałka rzucała na dywan czarny, złowieszczy cień w ostrym świetle poranka. – To pan zawsze utrzymywał rodzinę, natomiast pańska żona zajmowała się dziećmi, prawda?

– Owszem. Uważamy, że tak właśnie powinno być, i całkowicie nam to odpowiada.

– Nie wiem, czy tak powinno być, bo nie mam żony ani dzieci – odparł sucho wojskowy. – Z pewnością nie słyssał pan o operacji „Dzikus”, postaram się więc pokrótce to panu wyjaśnić. Prowadzimy pewien eksperyment. Przystosowujemy dzikie entoriańskie dziecko do życia w złożonym społeczeństwie Sangacji. Chcemy sprawdzić, czy taka asymilacja jest w ogóle możliwa. Uważamy, że to dziecko powinno wychowywać się w pełnej sangackiej rodzinie, takiej jak pańska.

– Chyba zaczynam rozumieć. Żąda pan, żebyśmy z Amber zaadoptowali dzikusa z Entorii. Nie, panie marszałku, ten pomysł wcale mi się nie podoba. Ento-

rianie są brudni, zawszeni, zostawiają swoje nieczystości na środku pokoju, jedzą rękami i na każdym kroku zachowują się jak barbarzyńcy. To zwierzęta, nie ludzie.

– Humanoidy, panie Carradine. Jakże niewiele pan o nich wie!

– Nic o nich nie wiem! Nie mam pojęcia, jak wychowywać entoriańskie dziecko! Dlatego nie mogę się podjąć tego zadania.

– Chcemy, żeby wychowali państwo to dziecko tak samo jak własne. A jeśli będą państwo potrzebować wsparcia, posłużymy każdym możliwym rodzajem pomocy.

– No, nie wiem...

– Nie ma pan wyboru. Jeśli pan odmówi, czeka pana więzienie, a pańską rodzinę bieda. Ale jeśli pan się zgodzi, nie braknie wam niczego.

– Proszę, niech pan się zgodzi – wtrącił Robert Blood.

– Ale to nie będzie nasze dziecko! To będzie obca istota, z którą nie umiemy postępować, która pewnie nawet nie będzie mówić po angielsku...

– Oczywiście, że nie będzie – przerwał marszałek z lekkim rozbawieniem. – Zna tylko entoriański i Wspólną Mowę, ale stopniowo nauczy się angielskiego. Mam nadzieję, że zna pan Wspólną Mowę?

– Tak, potrafię się porozumieć z Kiramczykiem we Wspólnej Mowie.

Co powiedział marszałek dyrektorowi Bloodowi, zanim Timothy przyjechał do biura? A jeśli się nie zgodzi, czy gniew marszałka uderzy także w firmę? Czemu Bloodowi tak zależy, by Timothy zajął się tym dzieckiem? Carradine zaczął żałować, że wie tak niewiele. Był tylko pionkiem w grze prowadzonej przez potężniejszych od niego.

Właściwie zawsze czuł się pionkiem, tylko w domu był królem. Ktoś powiedział mu kiedyś, że Timothy rekompensuje sobie patriarchalnymi układami rodzinnymi nieudane stosunki z innymi ludźmi. Upchnął gdzieś głęboko tę myśl i więcej się nią nie zajmował. Musiał mimo to przyznać, że często bywał zamknięty w sobie i z trudem zjednywał sobie ludzi.

– Nie wiem, czy podołam...

– Podoła pan. Jeśli wyrazi pan zgodę, pięćdziesiąt tysięcy dolarów już jutro znajdzie się na pana koncie. Jutro też dostarczymy państwu dziecko.

Chciwość walczyła w sercu Timothy'ego o lepsze z obawami. Te pieniądze oznaczały nowe, eleganckie ubrania dla niego, drogie sukienki dla Amber, kolacje w dobrych lokalach, treningi i sprzęt najwyższej klasy dla Michaela, kurs dla przyszłych modelek dla Katii, i przede wszystkim koniec trosk i zagrożeń dla nich wszystkich.

Ale z drugiej strony... entoriańskie dziecko! Niewiele wiedział o Entorianach, nie odróżniał ich od innych nacji Kiramu. Od młodości wpajano mu nieufność w stosunku do wszystkich Kiramczyków. Spotkał ich w życiu całą masę i udało mu się trochę ten lęk przezwyciężyć. Jednak zawsze miał z nimi do czynienia na neutralnym gruncie, poza domem. A teraz ma wpuścić dzikusa do własnego mieszkania, przyjąć do rodziny istotę przenoszącą groźne zarazki, żywiącą się trującym jedzeniem...

– Zgadzam się – powiedział, czując nagłą ulgę. – Czy to będzie bardzo małe dziecko? Chłopiec czy dziewczynka?

Marszałek Raszkiewicz również się uśmiechnął, po raz pierwszy od momentu, w którym wszedł do budynku.

– Miedzianowłosa dziewczynka. Za dwa tygodnie skończy dwanaście lat. Nazywa się Derra Amno.

Amber ogromnie ucieszyła się z takiego obrotu spraw. Czuła także, podobnie jak jej mąż, sporą obawę. Miała o Entorianach jeszcze bledsze pojęcie niż Timothy i bardzo się ich bała. Nie umiałyby pewnie wyjaśnić przyczyny swojego lęku. Po prostu od małego uczono ją, że świat poza granicami Sangacji jest bardzo niebezpieczny, szczególnie dla tak bezbronnej istoty jak ona, i ostrzegano przed tym światem.

Dzieci zostały powiadomione przez rodziców o nowym członku rodziny zaraz po powrocie ze szkoły. Nie umiały ukryć podekscytowania i z niecierpliwością czekały na chwilę, gdy zobaczą nową „siostrę”. Nie uważały jej jeszcze za człowieka, lecz za jakieś egzotyczne zwierzątko, które ojciec właśnie im kupił.

c. d. n.